

DZIŚ W MAGAZYNIE PULS :

- **Zamiatamy śmierć pod dywan, dlatego nie potrafimy spokojnie żyć**
- **Borys Szyc: Miałem takie poczucie, jakby mnie naprawdę uratowali z tonącego statku**

magazyn
Puls



s. 14-16

*Lamenty w wyższych sferach były źle widziane.
Arystokraci żałobę nosić mieli godnie*

Jak nasi przodkowie przeżywali żałobę?



www.gp24.pl

Piątek-niedziela, 31.10-2.11.2025 • Nr 254 (5711) • Nakład: 9790 egz. • Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

FOT. GETTY IMAGES

s. 4

Gryf Słupsk przegrał z Lechem Poznań, ale do sensacji zabrakło naprawdę niewiele

s. 4

Policja zatrzymała cztery osoby w sprawie zabójstwa w Ustce

s. 6

Szpital w Słupsku otworzył nowoczesną pracownię genetyczną

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

PONIEDZIAŁEK

● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach

WTOREK

● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginiesz

ŚRODA

● Strona Zdrowia: Pierwsze objawy raka jądra

CZWARTEK

● Pod Paragrafem: Komuniści masakrują na Wybrzeżu

PIĄTEK

● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

KALENDARIUM

31 PAŹDZIERNIKA
POLSKA

1901

W Teatrze Miejskim w Krakowie (obecnie Teatr im. Juliusza Słowackiego) odbyła się prapremiera dramatu Dziady Adama Mickiewicza, w opracowaniu tekstu i w inscenizacji Stanisława Wyspiańskiego.

1918

Założono Polską Agencję Telegraficzną.

1925

Obszar na terenie Wolnego Miasta Gdańska na półwyspie Westerplatte został oficjalnie przekazany w bezterminowe i bezpłatne użytkowanie Polsce.

1980

W pożarze szpitala psychiatrycznego w Górnej Grupie koło Świecia zginęło 55 pacjentów, a 26 zostało ciężko poparzonych.

1985

W fabryce w Świdniku z taśmy produkcyjnej zjechał ostatni motocykl WSK.

ŚWIAT

1517

Marcin Luter ogłosił w Wittenberdze swoich 95 tez. Tezy, będące wezwaniem do publicznej dysputy religijnej na temat istoty i skuteczności odpustów, miały zostać przybite do drzwi katedry zamkowej. Celem Lutera było doprowadzenie do reformy Kościoła rzymskokatolickiego, jednak cel ten nie został osiągnięty i doszło do jego podziału.

1918

Węgry proklamowały niepodległość, co oznaczało rozpad Austro-Węgier.

1922

Benito Mussolini został premierem Włoch.

1940

Zakończyła się bitwa o Anglię toczona między niemieckim lotnictwem Luftwaffe a brytyjskim RAF-em. Była to pierwsza kampania toczona wyłącznie za pomocą lotnictwa.

1941

Na Mount Rushmore w Dakocie Południowej zakończono 14-letnie prace nad wykutym w skałę monumentem przedstawiającym głowy czterech prezydentów USA.

1992

Papież Jan Paweł II dokonał pełnej rehabilitacji Galileusza, który bronił kopernikańskiej teorii heliocentrycznej.

Kardiolog wyjaśnia, czy nasze serce może stanąć z przerażenia

Klaudia Torchała
Rozmowa

z prof. Robertem J. Gilem, prezesem Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego w latach 2023-2025

Serce odpowiada nie tylko za pompowanie krwi, prawda?

Serce to nie tylko pompa podłączona do naczyń: do tętnic, która tłoczy krew, ale to także szerzej – ostoja emocji, energii, wiary. Serce produkuje przecież aktywne substancje, które wpływają na przepływ krwi i na zachowanie się innych narządów, np. nerek. Ma też w sobie baroreceptory, które reagują na ilość krwi i jej ciśnienie. Do tego wszystkiego, wraz z naczyniami krwionośnymi, jest jeszcze opłecznym układem autonomicznym, takim wewnętrznym systemem unerwienia, który zabezpiecza homeostazę funkcji wszystkich narządów, w tym utrzymanie dobrego ciśnienia krwi, niezbędnego dla perfuzji wszystkich narządów.

Emocje mogą jednak przyspieszać lub spowalniać bicie serca?

Teoretycznie centralny układ nerwowy, nad którym mamy jakieś panowanie, nie ma wielkiego wpływu na serce. Trzeba by nad tym popracować, choć znamy sytuację nie-



Robert J. Gil: - Serce może znacznie w takim przerażeniu się „osłabić”, może zmniejszyć swoją częstość uderzeń i nie potrafić utrzymać prawidłowego ciśnienia krwi

których medytujących ludzi w Indiach, którzy potrafią spowolnić serce do kilkunastu uderzeń na minutę. Jeden z głównych nerwów mózgowych, dziesiąty z kolei, tzw. nerw błędny, może spowalniać częstość uderzeń serca i nieco obniżać ciśnienie tętnicze. I niektórzy są w stanie go stymulować. Pracują latami, by opanować tę zależność między nerwem a sercem. Ale

Teoretycznie centralny układ nerwowy, nad którym mamy jakieś panowanie, nie ma wielkiego wpływu na serce

normalny śmiertelnik tego nie umie. Emocje związane są z wyrzutem najróżniejszych aktywnych substancji (m.in. hormonów czy neuromediatorów), które wpływają na serce, głównie je przyspieszają oraz podnoszą ciśnienie, chociaż część z osób na wielkie emocje może zareagować w pewnym momencie spadkiem. W tzw. drugiej fazie rozszerzają się naczynia krwionośne na obwodzie ciała, powodując, że tej krwi nagle w poszerzonym łożysku może zabraknąć i to serce nie ma czego tłoczyć.

Serce może stanąć wskutek bardzo ciężkich przeżyć?

Może mu zabraknąć krwi. I można wtedy w przeniósł powiedzieć, że serce stanęło. Serce może zwolnić, zatrzymać się z powodu bardzo mocnej symulacji nerwu błędnego. Mogą mieć na to wpływ także procesy chorobowe, które dzieją się w sercu i jego otoczeniu – np. borelioza może, atakując mięsień sercowy, doprowadzić do zaburzenia przewodzenia przedsionkowo-komorowego i je zablokować, gdy choroby się nie wyleczy. Serce nie ma idealnej ochrony. Co prawda jest obudowane warstwami błon, które je zabezpieczają, ale ta bariera jest dla patogenów do przejścia. Organizm swoimi siłami odpornościowymi nie jest w stanie zawsze sobie z tym poradzić. Stąd zapalenia mięśnia sercowego, które są już uznanym faktem, a nie wymysłem, jak jeszcze 30 lat temu twierdzono.

Człowiek czasem lubi się bać na własne życzenie. Ogląda horrory, czyta przerażające historie, słucha mroźnych krew w żyłach opowieści. Czy to nie osłabia serca?

Teoretycznie jest to możliwe, ale nie mam naukowych dowodów. Wiedząc, jak serce funkcjonuje, wiedząc o nerwie błędnym, że ma związek z autonomicznym układem nerwowym, to takie rzeczy mogą się wydarzyć. Miejmy też świadomość, że dla róż-

W stresie ciśnienie rośnie, ale po pierwszej fazie stresu następuje energetyczne wyczerpanie i spadek ciśnienia. To nie czary-mary

nych ludzi różne bodźce emocjonalne prowokują różne odpowiedzi. Serce może znacznie w takim przerażeniu się „osłabić”, może zmniejszyć swoją częstość uderzeń i nie potrafić utrzymać prawidłowego ciśnienia krwi, które wiąże się z właściwą perfuzją narządów wewnętrznych. Teoretycznie się mówi, że w stresie ciśnienie rośnie, ale po pierwszej fazie stresu następuje energetyczne wyczerpanie i spadek ciśnienia. To nie czary-mary, to jest możliwe. Ale oczywiście nie powszechne, niejednoznaczne i różniące się indywidualnie między ludźmi. A odpowiadając może trochę nie wprost na pytanie, to wystarczy zdawać sobie sprawę, że wśród wielu czynników ryzyka chorób sercowo-naczyniowego jest deprywacja snu (niewystarczająca ilość snu - dop. red). A horrory, koszmarnie historie wpływają na jego jakość. Organizm gorzej funkcjonuje, mogą zachodzić procesy zmniejszające jego wydolność, odporność. Nie jestem zwolennikiem tego typu spędzania wolnego czasu.

UCZCILI PAMIĘĆ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ. PŁONĄ ZNICZE NA PONAD 160 GROBACH

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
Uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 8 w Słupsku oraz Szkoły Podstawowej we Wrześni wspólnie zadbali o pamięć o żołnierzach Armii Krajowej.

Na ponad 160 grobach żołnierzy Podziemnego Państwa na Starym Cmentarzu w Słupsku zapalili znicze, które ufundował słupski Urząd Miejski. Oprócz świateł pamięci, na nagrobkach pojawiły się także białe-czerwone proporce, własnoręcznie wykonane wcześniej przez szkolnych wolontariuszy.



REKLAMA

0011417342

TRZY FALE
AQUAPARK SŁUPSK

Klinika Zdrowia



Klinika Urody

Otwórz się na piękno



76-200 Słupsk, ul. Grunwaldzka 8a
www.trzyfale.slupsk.pl



Gryf przegrał z Lechem, ale do sensacji zabrakło bardzo niewiele

Mariusz Surowiec
Słupsk

To miał być pojedynek Dawida z Goliatem. Na papierze wszystko na to wskazywało. Czy tak było? Kibice, którzy oglądali mecz, pewnie odczuć mieli zupełnie inne. Gryf grał ambitnie w obronie i szans upatrywał w szybkich kontrach i stałych fragmentach. Do sensacji zabrakło na prawdę bardzo niewiele.

Wczoraj do Słupska przyjechał aktualny Mistrz Polski - Lech Poznań. Goście, choć ostatni nie mieli najlepszej passy byli w tym spotkaniu murowanym faworytem. Trudno się temu dziwić. Kibic zastanawiali się jakim składem ten mecz rozpocznie trener Niels Frederiksen. Lech rozpoczął mecz na gallowo. W porównaniu do meczu z Legią Warszawa poznaniacy dokonali tylko kilku korekt w wyjściowej jedenastce. O lekceważeniu Gryfa nie może więc być mowy.



FOT. LUKASZ CAPAR

Mecz zakończył się wynikiem 1:2 dla Lecha Poznań

Mecz rozpoczął się zgonie przewidywaniami. Lech miał kontrolę nad przebiegiem meczu, utrzymywał się przy piłce a piłkarze Krzysztofa Mullera starali się wybijać przeciwnika

z rytmu. Szczelnie ustawiona obrona z Piechowskim, Pryndetą i Wiśniewskim na środku nie pozwalała przyjeźdnym na zbyt wiele.

Gryf dzielnie trzymał się

do 19. Szybka akcja z prawej strony boiska rozpoczął Joel, na jeden kontakt zagrał Pablo Rodriguez a piłkę do siatki skierował Filip Jagiełło. Niespełna kwadrans później Lech pod-

wyższył na 2:0. Podawał Mikael Ishak a strzelał Joel Pereira.

Spisywany na pożarcie Gryf nie załamał się a nawet zaczął grać pewniej i odważniej. Chwile przed końcem pierwszej połowy doskonałą sytuację sam na sam z Mrozkiem zaprzepaścił Damian Wojda. Do przerwy Lech prowadził jednak w Słupsku 2:0.

W przerwie trener Frederiksen zdjął Ishaka i Jagiełłę. W ich miejsce na boisku pojawili się Gisle Thordarson oraz Yannick Agnero. Obaj wnieśli niewiele dobrego w ofensywne akcje Lecha, który grał przewidywalnie i nie potrafił niczym zaskoczyć walecznych i grających z poświęceniem Gryfitów. Owszem, to Lech nadal operował dłuższą piłką, owszem miał optyczną przewagę, ale kompletnie nie przekładało się to na ilość oddawanych strzałów czy kreację czystych sytuacji bramkowych. Gryf robił swoje i czekał na szansę na gola kontaktowego. I taka nadeszła w 54 minucie. Kwiatkowski

w tempo wypuścił Wojdę a ten w sytuacji sam na sam drugi raz się nie pomylił i tym razem pokonał golkipera gości. Stadion przy ulicy Zielonej eksplodował radością.

Czas upływał a Lech nie błyszczał. Mało tego, co jakiś czas narażał się na kontry. Kibice reagowali na każdą, najmniejszą dobrą akcją Gryfa, udany wślizg, blok, interwencja bramkarza po rzucie rożnym. Dość powiedzieć, że w drugiej połowie meczu dobrych sytuacji więcej stworzyli sobie piłkarze Gryfa. Prawdziwa euforia, niestety przedwczesna, miała miejsce w 86 minucie meczu. Po centrze z lewej strony boiska piłka w polu karnym znalazła Piechowskiego, odbiła się od jednego z obrońców i wpadła do bramki interweniującego Mrozka. Ławka Gryfa oszałała ze szczęścia jednak chwilę później arbiter anulował bramkę ze względu na pozycję spaloną Daniela Piechowskiego.

©©

Wywieźli mężczyznę do lasu, pobili i ukradli rower

Wojciech Lesner
Region

Dramatyczne sceny rozegrały się w gminie Dębica Kaszubska. Grupa napastników pobiła mężczyznę, skradła mu rower, siłą wciągnęła go do bagażnika i wywiozła do lasu. Zostali namierzeni przez policję i zatrzymani.

- Funkcjonariusze zebrali szereg szczegółowych informacji, a w wyniku intensywnych czynności operacyjnych, kilka godzin

po zdarzeniu zatrzymali pięciu mężczyzn w wieku od 21 do 32 lat podejrzanych o udział w uprowadzeniu, pobiciu oraz kradzieży. Wszyscy zatrzymani to mieszkańcy powiatu bytowskiego. Zostali przewiezieni do komendy, gdzie policjanci prowadzili z nimi czynności procesowe. Dalsza praca kryminalnych doprowadziła do ustalenia tożsamości osoby, która pomogła w ukryciu skradzionego roweru. 32-latek również został zatrzymany - poinformował podkom. Jakub Bagiński, oficer pra-

sowy Komendy Miejskiej Policji w Słupsku.

Pięciu mężczyzn usłyszało zarzuty bezprawnego pozbawienia wolności, pobicia, spowodowania uszczerbku na zdrowiu oraz kradzieży. Prokurator zastosował wobec nich dozory, zakazy opuszczania kraju i zakazy zbliżania się i kontaktowania z pokrzywdzonym. 32-latek, który ukrył rower usłyszał zarzut paserstwa.

Za popełnione przestępstwa grozi im teraz kara do 5 lat pozbawienia wolności. ©©

Zatrzymano cztery osoby w sprawie zabójstwa w Uście

Patryk Czerwiński
Region

Policja z Gdańska i Słupska, we współpracy z prokuraturą, zatrzymała cztery osoby w związku z zabójstwem 42-letniego mieszkańca Ustki, którego ciało zostało odnalezione w maju tego roku w walizce dryfującej w cieku wodnym przy ulicy Rybackiej.

Przypomnijmy, że do zdarzenia doszło 7 maja 2025 roku. Około godziny 17 policjanci otrzymali zgłoszenie o walizce, z której wydobywał się intensywny, nieprzyjemny zapach. Po jej wydobyciu z wody funkcjonariusze ujawnili zwłoki mężczyzny w stanie zaawansowanego rozkładu. Sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła w wyniku rozległych obrażeń głowy. Ofiarą okazał się 42-letni mieszkaniec Ustki zaginiony już w styczniu.

Śledztwo, prowadzone przez KMP w Słupsku i KWP w Gdańsku, od początku było bardzo skomplikowane. Policjanci zabezpieczyli monitoring, przesłuchali wielu świadków i przeprowadzili liczne czynności operacyjne. Udało



FOT. POMORSKA POLICJA

Policyjna akcja - zatrzymanie jednego z podejrzanych

im się ustalić, że mężczyzna został brutalnie pobity w jednym z uesteckich mieszkań, a następnie sprawcy włożyli jego ciało do walizki i porzucili je w cieku wodnym w rejonie ul. Rybackiej w Uście.

Przełom w śledztwie nastąpił 27 października br. W skoordynowanych działaniach w Uście i Miechucinie (powiat kartuski) policja zatrzymała 27-letnią kobietę i 30-letniego mężczyznę. Dotarto także do dwóch innych osób, które aktualnie przebywają w aresztach śledczych w związku z innymi przestępstwami.

Podczas przeszukań zabezpieczono telefony komórkowe, nośniki elektroniczne oraz inne przedmioty mogące stanowić dowody w sprawie.

Zatrzymanym postawiono zarzuty. 27-letnia kobieta, 30-letni i 41-letni mężczyzna usłyszeli zarzuty zabójstwa oraz bezczeszczenia zwłok. Kolejny 30-letni mężczyzna został oskarżony o zbezczeszczenie zwłok. Na wniosek Prokuratury Rejonowej w Słupsku sąd zastosował wobec wszystkich czterech osób środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania. PAP

REKLAMA

0011264136

USKOM
FIRMA POGRZEBOWA

TELEFONY: 91 485 68 91 | +48 607 310 090

Kompleksowe
usługi pogrzebowe

Międzynarodowy
transport zmarłych

Rozliczenie
ratalne

Usługi
cmentarne

www.uskom.szczecin.pl | Szczecin, Ku Słońcu 23/1

Finansowe wsparcie dla polskich pszczelarzy

W Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa ruszyła właśnie czwarta edycja programu pomocy dla polskich pszczelarzy, który finansowany jest z Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Nabór wniosków potrwa do 28 listopada 2025 r.

Pszczelarstwo jest jednym z najstarszych zajęć człowieka. Początkowo korzyści z chowu pszczoł upatrywano w możliwości pozyskiwania większej ilości miodu. Musiały minąć wieki, by ludzkość zdała sobie sprawę, że niezastąpioną rolę tych małych owadów jest zapylanie roślin, że dzięki ich pożytecznej pracy rosną plony zbóż, a drzewa i rośliny uprawne wydają owoce i nasiona, co bezpośrednio wpływa na łańcuchy pokarmowe i produkcję rolniczą.

W Polsce owady zapylające, wśród których 90 proc. stanowią pszczoły, odpowiadają za zapylanie około 80 proc. roślin. Z danych Najwyższej Izby Kontroli wynika, że korzyści z zapylania roślin uprawnych przez pszczoły szacowane są w naszym kraju na kwotę od 4,1 do 7,4 mld zł rocznie. Z kolei wartość tego wkładu pracy dla całej Unii Europejskiej określana jest, według informacji Komisji Europejskiej z 2024 r., na poziomie około 15 mld euro. Według danych Inspekcji Weterynaryjnej w Polsce w 2024 r. było 99 tys. pszczelarzy, co oznacza wzrost o 2,4 proc.

w porównaniu do 2023 r. i o 96 proc. w stosunku do roku 2011. Średniej wielkości gospodarstwo pasieczne w kraju w 2024 r. posiadało ponad 24 rodziny pszczele. Systematycznie zwiększająca się liczba pszczelarzy i pni pszczele to dowód na duży potencjał sektora pszczelarstwa w Polsce. Jednym z decydujących czynników w rozwoju tej branży są unijne programy pomocowe. Podobnie jak inne sektory polskiego rolnictwa, po 1 maja 2004 r. pszczelarstwo zostało objęte narzędziami wsparcia dostępnymi w ramach Wspólnej Polityki Rolnej, w tym działającym od 1997 r. w Unii Europejskiej mechanizmem „Wsparcie rynku produktów pszczele”.



FOT. ADOBE STOCK

Na jego bazie państwa zainteresowane tą formą pomocy opracowały trzyletnie, krajowe plany wsparcia branży pszczelarstwa, które mogły wdrażać po akceptacji Komisji Europejskiej. Polska realizowała Krajowe Programy Wsparcia Pszczelarstwa od 2005 do 2022 r. Do 2017 r. odpowiedzialna była za to Agencja Rynku Rolnego, a po jej likwidacji Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolniczego, który przyjmował i oceniał projekty złożone przez pszczelarzy. Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przypadła rola płatnika środków dla pozytywnie zweryfikowanych wniosków.

UNIJNA POMOC RAZY SIĘDEM

To się zmieniło w nowej unijnej perspektywie budżetowej. Teraz to Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa jest jedyną instytucją realizującą – od przyjęcia wniosku, przez jego ocenę, do wypłaty środków – europejski program wsparcia pszczelarzy. W Planie Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

przygotowano dla branży pszczelarstwa siedem rodzajów pomocy, tzw. interwencji. 24 października 2025 r. ruszył w ARiMR czwarty nabór wniosków o wsparcie w ramach tych interwencji, który potrwa do 28 listopada 2025 r. Na co konkretnie można otrzymać pieniądze?

Wsparanie podnoszenia poziomu wiedzy pszczelarstwa (I.6.1)

Ta oferta dofinansowania skierowana jest do organizacji pszczelarskich oraz jednostek doradztwa rolniczego. Wsparcie można otrzymać na organizację szkoleń dotyczących m.in. prowadzenia gospodarki pasiecznej, chorób pszczoł, pożytków i produktów pszczele. Koszty kwalifikowane zostały w tym przypadku szczegółowo określone, a refundacji podlegać może nawet 100 proc. poniesionych wydatków.

Inwestycje, wspieranie modernizacji gospodarstw pasiecznych (I.6.2)

O ten rodzaj wsparcia mogą ubiegać się indywidualni pszczelarze oraz – w ich imieniu – organizacje

pszczelarskie. Pomocą finansową objęty jest zakup nowego sprzętu pszczelarskiego, maszyn i urządzeń wykorzystywanych na potrzeby gospodarki pasiecznej, np. miodarek, odstojników oraz uli lub ich elementów. Refundacja wynosi do 50 proc. poniesionych kosztów netto i nie może przekroczyć 100 zł na jeden pień pszczele (maksymalnie 15 tys. zł w danym roku pszczelarskim).

Wsparanie walki z warrozą produktami leczniczymi (I.6.3)

O środki finansowe w ramach tej interwencji mogą ubiegać się w imieniu pszczelarzy zrzeszające ich organizacje, jak również indywidualni pszczelarze. Przeznaczenie tych pieniędzy to zakup warzobójczych produktów leczniczych – nie tylko weterynaryjnych, lecz także tych zawierających substancje czynne dopuszczone do stosowania w gospodarstwach ekologicznych. Zwrotowi podlega do 90 proc. kosztów netto.

Ułatwienie prowadzenia gospodarki wędrowniej (I.6.4)

W tym przypadku pomoc jest skierowana wyłącznie do indywidualnych

pszczelarzy. Realizowane z dofinansowaniem inwestycje muszą dotyczyć zakupu nowego sprzętu, maszyn i urządzeń wykorzystywanych na potrzeby gospodarki wędrowniej, m.in. wag pasiecznych czy przyczep do przewozu uli. Refundacja wynosi do 50 proc. kosztów netto. Natomiast limit wsparcia ustala się na podstawie wielkości gospodarstwa pszczelego. 150 zł na jeden pień pszczele otrzyma hodowca, który ma ich od 25 do 149. Tych pszczelarzy, którzy mają co najmniej 150 pni, obowiązuje stawka 200 zł. Jednak w sumie nie mogą oni otrzymać więcej niż 40 tys. zł.

Pomoc na odbudowę i poprawę wartości użytkowej pszczoł (I.6.5)

Wnioski mogą składać w imieniu pszczelarzy zrzeszające ich organizacje, jak i indywidualni pszczelarze. Wsparciem objęty jest zakup: matek pszczele z linii hodowlanych, dla których prowadzone są księgi lub rejestry; odładow lub pakietów pszczele z matkami pochodzącymi z linii hodowlanych; a także odładow lub pakietów pszczele od producentów, którzy uzyskali rekomendację związków lub zrzeszeń pszczelarzy. Refundacji podlega do 70 proc. kosztów netto, natomiast maksymalna kwota pomocy na beneficjenta to 10 tys. zł.

Wsparcie naukowo-badawcze (I.6.6)

Ten rodzaj pomocy adresowany jest do jednostek naukowo-badawczych, które zajmują się tematyką pszczelarską. Dofinansowanie – w maksymalnej wysokości 80 tys. zł na jednego beneficjenta w danym roku pszczele – obejmuje prace poświęcone zdrowiu pszczoł, jakości produktów pszczele i innowacjom w gospodarce

pasiecznej. Refundacja wynosi nawet 100 proc. kosztów netto.

Wsparanie badania jakości handlowej miodu oraz identyfikacja miodów odmianowych (I.6.7)

Także w tym przypadku wnioski mogą składać wyłącznie indywidualni pszczelarze. Wsparcie można przeznaczyć na zakup analiz fizyko-chemicznych miodu lub analizy pyłkowej miodu. Refundacji podlega do 90 proc. kosztów netto, a limit wynosi 10 tys. zł.

PSZCZELARZE SKŁADAJĄ WNIOSKI

Wnioski w ramach wszystkich naborów z PS WPR 2023-2027 Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przyjmuje wyłącznie drogą internetową. A to oznacza, że również ubiegający się o wsparcie pszczelarze i ich zrzeszenia dokumenty mogą składać tylko za pośrednictwem Platformy Usług Elektronicznych ARiMR. Pierwszy nabór wniosków dla sektora pszczelarskiego z PS WPR 2023-2027 został przeprowadzony wiosną 2023 r. Można było się wówczas starać o wsparcie w ramach trzech interwencji: I.6.2, I.6.3 i I.6.5. Dofinansowanie w kwocie ponad 41 mln zł trafiło do około 38 tys. pszczelarzy. Pełną parą program ruszył na przełomie lat 2023-2024, gdy odbył się nabór obejmujący wszystkie siedem interwencji. Tym razem ze wsparcia finansowego skorzystało blisko 39 tys. pszczelarzy, którym ARiMR wypłaciła 39,3 mln zł. Trzeci nabór wniosków jest właśnie rozliczany przez ARiMR, stąd brak na razie ostatecznych danych. Ze statystyk Agencji wynika, że do tej pory największym zainteresowaniem pszczelarzy cieszy się interwencja I.6.2, czyli inwestycje związane z modernizacją gospodarstw pasiecznych.



Szpital w Słupsku otworzył nowoczesną pracownię genetyczną

Patryk Czerwiński
Słupsk

Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Słupsku wzmacnia swoją diagnostykę hematologiczną dzięki wsparciu Fundacji DKMS. Placówka zaprezentowała właśnie nowoczesny sprzęt o wartości 300 tysięcy złotych, który trafił do tworzonej Pracowni Genetyki Medycznej. Dzięki tym urządzeniom pacjenci z nowotworami krwi będą mogli szybciej otrzymać prawidłową diagnozę bez konieczności wyjazdu poza region.

Darowizna w wysokości 300 000 zł to kolejny etap wieloletniej współpracy między Wojewódzkim Szpitalem Specjalistycznym w Słupsku a Fundacją DKMS. Wcześniej fundacja sfinansowała dla słupskiej placówki m.in. cytometr przepływowy o wartości 228 480 zł, który umożliwił rozpoczęcie

transplantacji szpiku oraz wsparła oddział podczas pandemii.

Tym razem środki przeznaczone na zakup wyspecjalizowanego sprzętu laboratoryjnego, takiego jak spektrofotometr do pomiaru stężenia DNA i RNA, system do wizualizacji i archiwizacji żeli agarozowych oraz zestawy do elektroforezy.

Przyspieszenie diagnostyki to klucz do leczenia

Jak podkreślał podczas konferencji prasowej w słupskim szpitalu dr n. med. Wojciech Homenda, ordynator Oddziału Hematologicznego, genetyka jest dziś fundamentem nowoczesnej hematologii.

- Bardzo się cieszę, że Fundację DKMS udało mi się przekonać, że to jest kolejny krok, ażeby takie ośrodki jak nasz mogły się usamodzielniać, mogły wykonywać badania u nas, ażeby te badania były szybsze, wiarygodne i robione tu po pro-

stu na miejscu przez personel, który myśmy tutaj zatrudnili - mówił dr Wojciech Homenda.

Kierowniczka nowej pracowni, dr n. med. Sylwia Bilka, opisała funkcje zakupionych urządzeń.

- Sprzęt pozwala nam na przygotowanie i wykonanie elektroforezy agarozowej po reakcji PCR. Nowoczesny aparat do wizualizacji żeli umożliwia automatyczne uwidocznienie, obróbkę graficzną i archiwizację wyników - tłumaczyła.

Dodała, że w najbliższej przyszłości pracownia planuje wdrożyć sekwencjonowanie metodą Sangera.

Wsparcie wykraczające poza sprzęt

Leszek Lewandowski z Fundacji DKMS przypomniał, że współpraca z słupskim szpitalem ma wieloletnią historię.

- Nam bardzo zależy na tym, żeby pacjent tutaj w Słupsku i okolic nie musiał jechać gdzieś



FOT. ŁUKASZ CAPAR

Od prawej: dr. Wojciech Homenda, Anetta Barna-Feszak, wicerezes szpitala, dr n. med. Sylwia Bilka, Leszek Lewandowski, Andrzej Sapiński

dalej i być diagnozowany, albo czekać 2-3 tygodnie na wynik - podkreślał Leszek Lewandowski.

- To jest duży przeskok. Do tej pory czekać pół dnia no to, żeby dowiedzieć się jaka to jest diagnoza, to dla kogoś to jest po prostu cała wieczność dla pacjenta, a teraz jeśli jest to chwila, moment, godzina, to to

jest bardzo duży przeskok - dodał.

Podkreślił, że Fundacja DKMS, oprócz wsparcia sprzętowego, oferuje również pacjentom hematologicznym bezpłatną pomoc psychologiczną oraz konsultacje dietetyczne online.

Prezes Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego

w Słupsku, Andrzej Sapiński, dziękując fundacji za wieloletnie wsparcie, wyraził nadzieję na dalszą owocną współpracę.

- W jedności jest siła. Czym będzie nas, takich jak Państwo, jak my, więcej podmiotów, tym efekt końcowy będzie dużo większy - będzie więcej uratowanych żyć - podsumował.

©P

REKLAMA

0011407852

AUTOMATYCZNĄ PRALNIA DYWANÓW

- TRZEPANIE MECHANICZNE
- PRANIE AUTOMATYCZNE
- PŁUKANIE
- WIROWANIE
- SUSZENIE
- OZONOWANIE
- TRANSPORT OD / DO KLIENTA

PUNKT PRZYJĘĆ:

SŁUPSK
UL. PRZEMYSŁOWA 34b
(SERWIS KÄRCHER)

☎ 504 710 352
☎ 602 442 117

www.pralniadywanow-slupsk.pl

REKLAMA

0011424289

Burmistrz Miastka

stosownie do art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1998 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)

informuje,

że na tablicach ogłoszeń tut. urzędu oraz na stronie <http://www.bip.miastko.pl/> zamieszczone zostały na okres 21 dni wykazy nieruchomości przeznaczonych do:
- dzierżawy cz. dz. nr 288/1 o pow. 120 m² położonej przy ul. Wybickiego, cz. dz. nr 382 o pow. 105 m² położonej przy ul. Rybackiej oraz cz. dz. nr 360/19 o pow. 180 m² położonej w Miastku,
- użyczenia działki nr 56/6 położonej w obrębie Dwa Miastko.

REKLAMA

0011412994



UWAGA!

Informujemy, że w dniu
10 listopada 2025 r.

Starostwo Powiatowe w Bytowie
i Oddział Zamiejscowy w Miastku
będą nieczynne.

Za wszelkie niedogodności
i utrudnienia przepraszamy.

AUTOPROMOCJA



Dzień dobry
w **poniedziałek**

gp24.pl

AUTOREKLAMA

strona
zdrowia

Czytaj dla zdrowia

stronazdrowia.pl

POLSKA i ŚWIAT

FUNDUSZE EUROPEJSKIE

Komisja Europejska poinformowała w środę o pozytywnym rozpatrzeniu trzeciego wniosku Polski o płatność z Krajowego Planu Odbudowy (KPO). Polska otrzyma 6,2 mld euro (26 mld zł). Według KE pieniądze te mają w szczególności być zainwestowane w edukację, rozwój cyfrowy, czystą energię i transport. Dotychczas Polska z KPO otrzymała 67 mld zł: 27 mld zł wpłynęło do Polski w kwietniu 2024 r.; 40 mld zł – w grudniu 2024 r.

„

Przed nami jeszcze tylko trzy przelewy z KPO, ich wartość przebieje 100 mld zł. Pieniądze trafią do Polski w przyszłym roku

Jan Szyszko, wiceminister funduszy, 30 października 2025 r.

Polskie samoloty poderwane do lotu

Beata Kulicka
Warszawa

Polskie myśliwce MiG-29 przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy Il-20 nad Morzem Bałtyckim. Zamknięto też dwa porty lotnicze w kraju.

Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych (DORSZ) poinformowało w czwartek nad ranem o uruchomieniu „wszystkich dostępnych sił i środków pozostających w jego dyspozycji” w związku z rosyjskimi atakami na cele w Ukrainie.

Jak napisano, poderwane zostały dyżurne pary myśliwskie i samolot wczesnego ostrzegania, a naziemne systemy obrony powietrznej oraz rozpoznania radiolokacyjnego osiągnęły stan najwyższej go-

towości. O zakończeniu operowania sił powietrznych w polskiej przestrzeni powietrznej DORSZ poinformowało po godz. 10.

Przebywający w Kartuzach wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz poinformował w czwartek o przechwyceniu przez polskie myśliwce MiG-29 rosyjskiego samolotu rozpoznawczego nad Morzem Bałtyckim. – Dzisiaj MiG-i-29 przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy nad Morzem Bałtyckim, tak jak wczoraj – powiedział szef MON.

Kosiniak-Kamysz podkreślił, że zagrożenie dla Polski jest ze wschodu, ze strony Federacji Rosyjskiej. – Kto dzisiaj prowadzi retorykę antyniemiecką, antyukraińską, budząc takie nastroje, działa wbrew interesowi państwa polskiego – mówił szef MON.



FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE DORSZ

Rosyjski samolot rozpoznawczy Il-20 został przechwycenie przez polskie MIG-29 nad Bałtykiem

– Trzeba kompletnych dyktantów po drugiej stronie mieć albo cynicznych polityków wykorzystujących emocje, albo budujących takie emocje – dodał wicepremier.

Wśród Dowództwo Operacyjne informowało o przechwyceniu we wtorek przez dyżurną parę polskich myśliwców MiG-29 rosyjskiego samo-

lotu Il-20 realizującego nad Morzem Bałtyckim misję rozpoznawczą w międzynarodowej przestrzeni powietrznej bez złożonego planu lotu i z wyłączonym transponderem.

Jak podkreślono, nie odnotowano naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej.

Równolegle polskie wojsko reagowało na działania rosyj-

skie na terenie Ukrainy. Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych przekazało w czwartek wczesnym rankiem na platformie X, że w związku z atakiem Federacji Rosyjskiej na obiekty znajdujące się na terytorium Ukrainy, trwa operowanie polskiego i sojuszniczego lotnictwa w naszej przestrzeni powietrznej. Działania te, jak wskazywano, miały charakter prewencyjny i były ukierunkowane na zabezpieczenie przestrzeni powietrznej i jej ochronę, zwłaszcza w rejonach przyległych do zagrożonych obszarów.

Z kolei Polska Agencja Żeglug Powietrznej (PAŻP) informowała zaś, że z powodu konieczności zapewnienia swobody operowania lotnictwa wojskowego lotniska w Radomiu i Lublinie zostały zamknięte na czas działań.

Lotniska zostały ponownie otwarte w czwartek po godz. 10 rano.

Władze ukraińskie poinformowały, że celem przeprowadzonych przez wojska rosyjskie z użyciem rakiet i ciężkich dronów uderzeniowych były obiekty energetyczne, głównie w zachodniej części kraju. Położonym najbliżej Polski obiektem infrastruktury energetycznej Ukrainy, który ostatniej nocy znalazł się pod zmasowanym atakiem Rosji, była elektrownia w mieście Dobrotwór, ok. 60 km na wschód od granicy.

Wojska rosyjskie zaatakowały także elektrownie w Kałuszu, który znajduje się niewiele ponad 100 km na wschód od polskiej granicy, oraz w Bursztynie (ok. 150 km od Polski); obie te miejscowości położone są w obwodzie iwanofrankowskim. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011414538

Powiedz „stop” mowie nienawiści! Podpisz Deklarację Niezgody na Hejt

Wystartowała kolejna odsłona kampanii społecznej #HejtOutLoveIn, realizowanej przez T-Mobile Polska wspólnie z Fundacją SEXEDPL, której celem jest zburzenie bariery obojętności wobec hejtu. Każdy może dołączyć do akcji, podpisując Deklarację Niezgody na Hejt na hejtoutlovein.pl i tym samym pokazać, że głos szacunku jest silniejszy niż głos nienawiści. Deklarację podpisały znane postaci życia publicznego – Anja Rubik, Helena Englert, Maciej Zakościelny, Anna Dec i Irena Wielocha.

Kampania oparta jest o badania dotyczące mowy nienawiści w sieci wśród polskich użytkowników internetu, zlecone przez firmę T-Mobile Polska. Wnioski są pesymistyczne – wynika z nich, że chociaż tylko około pięciu procent komentatorów generuje hejt, to zjawisko przytłacza pozostałą większość. Aż 63 procent młodych osób doświadczyło hejtu – najczęściej z powodu wyglądu, poglądów i stylu bycia. Ponad 80 procent uważa go za problem, a 84 procent sądzi, że wymaga on zdecydowanej reakcji. Jednocześnie aż 67 procent badanych czuje wobec niego bezradność. Niepokoi również fakt, że osoby, które doświadczyły hejtu, pięć razy częściej stają się później jego sprawcami. Działają tym samym z potrzeby odwetu, w efekcie czego napędza się niestanna spirala nienawiści.



– Wyniki badań były dla nas szokujące – komentuje Małgorzata Rybak-Dowżyk, dyrektorka Departamentu Komunikacji Korporacyjnej i ESG w T-Mobile Polska. – Żyjemy w świecie hybrydowym, w którym świat online łączy się ze światem offline i to, czego doświadczamy w jednym, oddziałuje też na drugi. Dlatego jako T-Mobile Polska, firma, która daje ludziom okno do świata cyfrowego, uważamy, że naszą odpowiedzialnością jest nie tylko do-

starczenie najwyższej jakości usług, ale też sprawienie, by ludzie w cyfrowym świecie byli bezpieczni.

Celem akcji jest zburzenie bariery obojętności wobec hejtu. – Jako T-Mobile nie zgadzamy się na obojętność – dodaje Rybak-Dowżyk. – Głos szacunku jest silniejszy niż głos hejtu. Wierzymy, że możemy wszyscy połączyć się ponad podziałami i działać wspólnie na rzecz wykluczenia mowy nienawiści w sieci. Możemy rozpocząć

nowy etap kultury i bezpieczeństwa w internecie.

Martyna Wyrzykowska, dyrektorka Fundacji SEXEDPL, zwraca uwagę, że kampania skierowana jest nie tylko do osób, które hejtu doświadczają, ale też do tych, które go generują, bo one również potrzebują pomocy:

– Chcemy pomagać ofiarom przemocy, świadkom, ale też sprawcom. Każda z tych grup jest ważna i każdej trzeba jakoś pomóc, by była możliwa trwała społeczna zmiana. Rosnąca w ludziach złość doprowadza do tego, że odpowiadają złością innym – a najłatwiej to zrobić wobec kogoś słabszego. Hejterzy często piszą nienawistne komentarze nie dlatego, że są złymi ludźmi, tylko dlatego, że tak robią wszyscy. Nauka zarządzania swoimi emocjami, w tym negatywnymi, to pierwszy krok do zwalczania hejtu.

Akcję #HejtOutLoveIn wspierają znani aktorzy, Helena Englert i Maciej Zakościelny. Gwiazdy ekranu jako osoby publiczne, których profile społecznościowe gromadzą tysiące followersów, są szczególnie narażone na złośliwe komentarze hejterów. Ale ich doświadczenia mogą wspomóc i zainspirować także „zwykłych” ludzi, którzy coraz częściej stają się celami ataków w świecie wirtualnym.

– Używamy naszych głosów, które są słyszalne w mediach, aby mówić o problemach, które doty-

kają dziś niemal wszystkich – mówi Helena Englert, gwiazda takich produkcji jak „#BringBackAlice”, „Śleboda” czy „Rodzinka.pl”. – Już nie tylko osoby publiczne mierzą się z hejtem, ale też zwykli ludzie, którzy mają konto na Facebooku, Instagramie, TikToku – czyli w dzisiejszych czasach prawie każdy. Nie może być tak, że hejt staje się walutą wymiany opinii w internecie.

Wsparcie dla akcji #HejtOutLoveIn można wyrazić, podpisując Deklarację Niezgody na Hejt, dostępną online na stronie hejtoutlovein.pl. Zachęca do tego słynna modelka Anja Rubik, współzałożycielka i ambasadorka Fundacji SEXEDPL:

– Mówimy: dość. Nie będziemy wspierać hejtu ani słowem, ani milczeniem. Będziemy reagować, gdy zobaczymy nienawiść. Wybieramy odwagę, empatię i odpowiedzialność. Burzymy barierę obojętności wobec hejtu. Razem możemy pokazać, że głos szacunku jest głośniejszy niż głos nienawiści. Czy dołączycie?

Otwórz aparat w telefonie, zeskanuj kod i podpisz Deklarację Niezgody na Hejt.



Przejścia graniczne z Białorusią będą otwarte w połowie listopada

Zygmunt Francuski
Wilno

Polska później otworzy przejścia graniczne z Białorusią – przekazała premier Litwy Inga Ruginiene.

– Wczoraj rozmawiałam przez telefon z premierem Polski. Była to bardzo szczegółowa, wyczerpująca rozmowa. Zdecydowaliśmy, że premier Polski opóźni ponowne otwarcie granicy Polski z Białorusią – powiedziała Ruginiene na konferencji.

Jak podkreśliła, Litwa i Polska koordynują działania, a „obecnie granice (z Białorusią) zarówno w Polsce, jak i na Litwie pozostaną zamknięte”.

Ruginiene wyraziła przekonanie, że takie działanie „naprawdę boli nieprzyjaciela są-

siada” oraz nadzieję, że pomoże to uświadomić władzom w Mińsku, że „nie będziemy tolerować żadnych ataków hybrydowych i zrobimy wszystko, aby opanować zagrożenia i zapewnić bezpieczeństwo naszym mieszkańcom”.

Rzecznik rządu Adam Szłapka przekazał w czwartek, że premier Donald Tusk i premierka Litwy Inga Ruginiene uzgodnili, że Polska otworzy swoje przejścia graniczne z Białorusią „w okolicach połowy listopada”. We wtorek premier Tusk informował, że jeszcze w listopadzie rząd będzie gotowy do otwarcia dwóch przejść granicznych z Białorusią: w Bobrownikach i Kuźnicy. Mówił wówczas, że otwarcie będzie „na próbę”, po konsultacji z Litwą. PAP



Tak obecnie wyglądają przejścia graniczne między Polską i Białorusią

Spotkanie Trump – Xi. Lepiej niż ktokolwiek się spodziewał

Beata Kulicka
Pusan, Korea Południowa

Po bezpośredniej rozmowie liderów USA i Chin pojawiło się sporo pozytywnych uzgodnień. Ale ciągle trudno stwierdzić, czy to światło w tunelu, czy pozycja negocjacyjna.

Przełom? Pierwsze od roku spotkanie przywódców USA i Chin w południowokoreańskim Pusan przyniosło zaskakującą serię pozytywnych sygnałów. Donald Trump i Xi Jinping ogłosili cały pakiet kwestii gospodarczych, w których ich kraje zamierzają współpracować. Waszyngton i Pekin mają też „razem pracować” nad rozwiązaniem konfliktu między Rosją i Ukrainą.

– Uważam, że to było niesamowite spotkanie. To wspinały przywódca, wspaniały przywódca bardzo potężnego, bardzo silnego kraju, Chin, i coś mogę powiedzieć? Podjęliśmy wybitne decyzje. (...) Wiele decyzji zostało podjętych – powiedział Trump podczas lotu powrotnego do USA na pokładzie Air Force One. Zapowiedział też pisemne podsumowanie wszystkich porozumień.

Amerykański prezydent ogłosił, że zawarł z Chinami jednoroczne porozumienie obejmujące m.in. powstrzymanie się od kontroli eksportu metali ziem rzadkich przez ChRL, a także obniżenie ceł na towary z Chin o 10 procent w zamian



Donald Trump spotkał się z Xi Jinpingem bezpośrednio po raz pierwszy od sześciu lat. Ich rozmowa przyniosła więcej efektów niż początkowo się spodziewano

za obietnicę powstrzymania eksportu prekursorów do wytwarzania fentanylu. W rezultacie cła na większość importu z Chin spadną z 57 do 47 proc.

Chiny zapowiadały wcześniej ustanowienie restrykcji eksportowych minerałów krytycznych do całego świata, co wstrząsnęło Trumpem i spowodowało zapowiedź odwetu, w tym nałożenia dodatkowych 100 proc. ceł. W wyniku rozmowy przywódców groźby te nie zostaną zrealizowane przynajmniej przez rok, choć Trump zapowiedział, że porozumienie zostanie prawdopodobnie od-

nowione. Według amerykańskiego prezydenta Chiny zgodziły się też wznowić zakupy amerykańskiej soi i innych produktów rolnych.

Trump stwierdził, że mimo poruszenia wielu kwestii nie rozmawiał z Xi o problemie Tajwanu. Zapowiedział też, że z Xi

Trump w kwietniu złoży wizytę w Chinach, a później Xi odwiedzi USA: spotka się z Trumpem na Florydzie lub w Waszyngtonie

ustalili, że w kwietniu odwiedzi Chiny, zaś potem Xi przyjedzie do USA, odwiedzając go na Florydzie lub w Waszyngtonie.

– Myślę, że w skali od zera do dziesięciu, gdzie 10 to ocena najwyższa, powiedziałbym, że spotkanie oceniam na 12 – podsumował.

Trump powiedział, że długo rozmawiał z Xi na temat wojny w Ukrainie i obaj ustalili, że będą współpracować, „żeby zobaczyć, czy uda nam się coś zrobić”. Dodał, że on i Xi chcą zakończyć wojnę, choć „nie ma tak naprawdę wpływu” na ich państwa. PAP

Seria aresztowań po włamaniu do Luwru

Zygmunt Francuski
Paryż

Zatrzymano pięciu nowych podejrzanych w sprawie kradzieży klejnotów koronnych z paryskiego Luwru. Nadal nie znaleziono skradzionych precjozów.

Jak przekazała w czwartek prokuratorka Laure Beccuau w radiu RTL, według śledczych jeden z zatrzymanych należał do czteroosobowej grupy, która dokonała kradzieży. Podobnie jak w przypadku pozostałych zatrzymanych, służby opierają się na próbkach DNA pobranych z miejsca zdarzenia.

Beccuau dodała, że kolejne ustalenia, które śledczym udało się uzyskać dzięki zatrzymaniom i przeszukaniom przeprowadzonym w środę wieczorem, mogą przyczynić się

do odzyskania klejnotów. Podkreśliła przy tym, że śledztwo jest bardzo skomplikowane.

Najnowsze zatrzymania przeprowadzono jednocześnie w różnych miejscach aglomeracji paryskiej w środę około godz. 21. Łącznie w sprawie kradzieży klejnotów z Luwru zatrzymano dotąd siedem osób.

Poszukiwania złodziei klejnotów wszczęto krótko po kradzieży 19 października. Wartość zrabowanych ośmiu klejnotów ocenia się na 88 mln euro.

Na miejscu zdarzenia i w pobliżu uciekający pozostawili w pośpiechu kilka przedmiotów, m.in.: kask, rękawiczki, żółtą kamizelkę, a także krótkofalówkę i pojemnik z łatwopalną cieczą. Zgubili też jeden ze zrabowanych przedmiotów – koronę cesarzowej Eugenii. PAP

W Holandii powstanie rząd bez udziału skrajnie prawicowej partii Geerta Wildersa

Beata Kulicka
Haga

Niespodziewany wynik przedterminowych wyborów w Holandii. Zwyciężyła w nich liberalna partia Demokraci 66 kierowana przez Roba Jettena.

Liberalno-proeuropejska partia Demokraci 66 (D66) zdobyła 27 mandatów w 150-osobowej Izbie Reprezentantów – wynika z sondażu exit poll Ipsos I & O dla publicznego nadawcy NOS i komercyjnego RTL.

Na drugim miejscu znalazła się skrajnie prawicowa Partia Wolności (PVV) Geerta Wildersa – 25 mandatów, a na trzecim liberalna Partia Ludowa na rzecz Wolności i Demokracji (VVD) z 23 mandatami.

Na kolejnych miejscach uplasowały się lewicowy so-



Rob Jetten, lider partii Demokraci 66

jusz Zielonych i Partii Pracy (GL-PvdA) z 20 mandatami oraz chrześcijańscy demokraci z CDA, którzy zdobyli 19 mandatów – aż o 14 więcej niż w 2023 roku. Wynik D66 też oznacza znaczący wzrost poparcia – partia miała dotąd

tylko 9 miejsc w Tweede Kamer.

Według sondażu, który ma margines błędu do jednego mandatu (a w wyjątkowych przypadkach nawet do trzech), upadek odnotowały czołowe ugrupowania z poprzednich wyborów: PVV straciła 12 mandatów, a GL-PvdA pięć. Partia Nowy Kontrakt Społeczny (NSC), która dwa lata temu zdobyła 20 miejsc, nie przekroczyła progę i wypada z parlamentu.

Niespodziewanie dobre wyniki osiągnęły partie prawicowe: JA21 uzyskała 9 mandatów (wcześniej 1), a Forum voor Democratie – 6 (wcześniej 3). Z kolei ruch rolniczy BBB zdobył 4 miejsca (wcześniej 7), a socjaliści (SP) – 3 (wcześniej 5).

W parlamencie utrzymają się mniejsze ugrupowania, w tym Denk, Partia na rzecz Zwierząt (PvdD) i protestancka

SGP – każda z trzema mandatami. Po przerwie wraca partia seniorów 50Plus (2 mandaty). Frekwencja wyborcza wyniosła 76,3 proc. – nieco mniej niż w 2023 roku (77,7 proc.).

Wprawdzie oficjalnych wyników wyborów jeszcze nie ma, ale już zaczęły się pierwsze przymiarki koalicyjne. Według medialnych spekulacji nowym premierem zostanie Rob Jetten. Stanie on na czele rządu, który utworzą jego partia D66 razem z VVD, z CDA oraz z JA21.

Faworyt wyborów, skrajnie prawicowa Partia Wolności, po raz kolejny pozostanie w opozycji.

Kłeskę w wyborach poniosła koalicja partii lewicowo-zielonych. W konsekwencji ich lider Frans Timmermans ogłosił, że rezygnuje z przywództwa temu sojuszu. PAP

Najbardziej tragiczni bohaterowie zimnej wojny

Mariusz Grabowski
Historia

Minęło 75 lat od sprawy Rosenbergów, „szpiegów atomowych”. 11 sierpnia 1950 r. służby USA aresztowały Ethel Rosenberg. Jej mąż Julius trafił za kraty miesiąc wcześniej

W tej historii ideologia miesza się wzorcowo z naiwnością, a idee uznawane za szczytne z polityczną bezwzględnością. Do tego dochodzą interesy mocarstw, które nie tolerują losów jednostek. To dzięki małżeństwu Rosenbergów i przekazywanym przez nich informacjom Stalinowi udało się dogonić Stany Zjednoczone w atomowym wyścigu.

Kim byli Rosenbergowie

Julius Rosenberg był synem żydowskich imigrantów z Rosji, którzy na początku XX w. przybyli do Nowego Jorku. Już jako młodego człowieka fascynowały go idee komunistyczne – ponoć uwielbiał oglądać sowieckie statki cumujące w nowojorskim porcie. Miał 16 lat, gdy zapisał się do tzw. Młodej Ligi Komunistycznej.

W szkole średniej Julius poznał Ethel Greenglas, która marzyła o karierze aktorki lub piosenkarki, ale z braku pieniędzy szybko ukończyła edukację i została sekretarką. Parę połączyła miłość oraz wspólnota poglądów, bowiem Ethel również była zakochana w komunizmie.

Pobrali się w 1939 r., mieli dwóch synów: Michaela i Roberta. Julius, po ukończeniu studiów inżynierskich dostał posadę w armii, gdzie pełnił funkcję specjalisty od sygnałów radiowych.

W 1945 r. jego kariera została przerwana, ponieważ wyszły na jaw związki Rosenberga z Komunistyczną Partią Stanów Zjednoczonych i radzieckim wywiadem.

Agent „Liberał”

Nadzór na działalnością Rosenberga, który przybrał pseudonim „Liberał”, sprawował nowojorski rezydent sowieckich służb Aleksander Fiekli-sow. To jemu „Liberał” przekazał w „prezencie dla narodu radzieckiego” m.in. model zapalnika zbliżeniowego, urządzenia ułatwiającego zestrzeliwanie



Julius Rosenberg został aresztowany 17 lipca 1950 r., a jego żona trafiła do aresztu kilka tygodni później. Oboje zostali skazani na karę śmierci

samolotów, co kilka lat później mieli boleśnie odczuć amerykańscy piloci biorący udział w wojnie koreańskiej.

Ale było coś znacznie ważniejszego – Rosenberg przekonał swojego szwagra, Davida Greenglassa do wspólnego działania na rzecz Moskwy. Greenglass stacjonował w czasie wojny w Los Alamos w Nowym Meksyku, gdzie trwały badania w ramach „Projektu Manhattan”, mającego na celu stworzenie bomby atomowej.

Kluczowe dane techniczne amerykańskiej bomby Julius przekazał Feklisowowi już pod koniec 1944 r. Wcześniej Ethel sumiennie przepisała je na maszynie.

„Projekt Venona”

Sowieci zdetonowali swoją pierwszą bombę atomową w 1949 r. na poligonie w Kazachstanie i amerykańskie służby natychmiast rozpoczęły szeroko zakrojone poszukiwania, aby dowiedzieć się, kto dostarczył Moskwie wiedzę potrzebną do wyprodukowania takiej broni.

Najbardziej do wyjaśnienia przecieku przyczyniło się złamanie kodów używanych przez Rosjan w połowie lat 40. XX wieku. Jednak to nie Julius wpadł jako pierwszy. Wcześniej aresztowano Davida Green-

glassa, który chcąc ratować swoje życie, zaczął donosić na Rosenberga. Rozpoczęło się likwidowanie siatki: Julius Rosenberg został aresztowany 17 lipca 1950 r., a jego żona trafiła do aresztu kilka tygodni później.

Aresztowano także Klause Fuchsa, pochodzącego z Niemiec fizyka i zadeklarowanego komunistę. Naukowiec miał swobodny dostęp do najbardziej tajnych miejsc w Los Alamos. Fuchs przekazywał meldunki łącznikowi o pseudonimie „Raymond”, którym okazał się Harry Gold, pracownik fabryki chemicznej z Filadelfii, współpracujący także z Rosenbergiem i Greenglassem.

Zarzuty zostały postawione Rosenbergom na podstawie materiałów zebranych w ramach tzw. „Projektu Venona”, przede wszystkim zaś przez zespół kobiet pracujących w kontrwywiadzie amerykańskim pod kierownictwem Angeline Nanni.

„Gorsze od morderstwa”

Proces małżeństwa rozpoczął się 6 marca 1951 r. w Nowym Jorku i wywołał masowe protesty lewicowej części światowej opinii publicznej, w dużej części podsycane przez sowiecki wywiad. Podnoszono kwestie wolności sumienia,

a także rzekomy antysemityzm administracji amerykańskiej – wszak większość zdemaskowanych agentów była Żydami.

Amerykańscy komuniści powołali do życia tzw. Narodowy Komitet Obrony Rosenberga. „NKOR zależało jedynie na dwóch możliwych rozwiązaniach sprawy: uznaniu Rosenberga za niewinnego lub uczynieniu z nich męczenników. Przyznanie się oznaczałoby wydanie współników, zapewne bardzo wielu osób, które stałyby się natychmiast bohaterami nowej serii procesów o szpiegostwo atomowe, oraz dałoby wygodny pretekst do przeprowadzenia nagonki w środowiskach lewicowych” – czytamy w tomie „Kompromitujące sekrety Ameryki” autorstwa Jerrolda i Leony Schecterów. Jednak dowody winy nie pozostawiały wątpliwości. „Przestępstwo, które popełnił, jest gorsze od morderstwa” – stwierdził 5 kwietnia 1951 r. sędzia Irving Kaufman, skazując Rosenberga na krześle elektryczne.

Żadnej skruchy

Do dziś nie ma zgody wśród historyków co do skali winy Rosenberga. Historycy są również zgodni co do tego, czy ich proces nie był skazany licznymi nieprawidłowościami sądo-

wymi i prawnymi. Do tego dochodzą dwuznaczne propozycje składane Ethel, której proponowano – jako matce – mniejszą karę w zamian za przyznanie się do winy i obciążenie innych.

Seria odwołań opóźniła wykonanie wyroku o ponad dwa lata. Zwolennicy Rosenberga prosili o ich ułaskawienie, lecz zarówno prezydent Harry Truman, jak kolejny przywódca USA Dwight Eisenhower odmówili skorzystania z prawa łaski. Nastroje utrzymujące się wówczas w Stanach Zjednoczonych, które były zaangażowane w wojnę koreańską, były w zdecydowanej większości wybitnie antykomunistyczne. Sowieccy szpiegi nie mogli więc liczyć na jakąkolwiek pobłażliwość – tym bardziej, że nie okazywali żadnej skruchy, a nierzadko butę.

Głosy oburzenia

W nocy 19 czerwca 1953 r. Julius Rosenberg został stracony w więzieniu Sing Sing w Ossining w stanie Nowy Jork. Kilka minut później na tym samym krześle elektrycznym zginęła jego żona. Egzekucja wywołała kolejną falę protestów komunistycznych działaczy, oskarżających imperialistów „o zabijanie niewinnych ludzi”.

Sprawa była głośna za żelazną kurtyną, w stalinowskiej Polsce. „Opinia polska, opinia polskich kół naukowych i opinia całego świata walczącego o pokój i sprawiedliwość widzi w tym wyroku nie tylko pogwałcenie elementarnych zasad sprawiedliwości, nie tylko nową prowokację pod adresem patriotów amerykańskich, ale również nową prowokację pod adresem wszystkich sił postępu walczących o pokój i sprawiedliwość” – mówił w 1951 r. prof. Uniwersytetu im. Bolesława Bieruta we Wrocławiu Stanisław Kulczyński, botanik, polityk i ówczesny autorytet naukowy.

Podobne głosy słyhać było wszędzie tam, gdzie trwała zimna wojna, choć nie wszystkie były spowodowane poli-

W nocy 19 czerwca 1953 r. Julius Rosenberg został stracony w więzieniu Sing Sing w Ossining w stanie Nowy Jork

tyką: o ułaskawienie Rosenberga występowali wcześniej m.in. papież Pius XII czy fizyk Albert Einstein. W 1954 r. lekturą w polskich szkołach stał się dramat Leona Kruczkowskiego „Julius i Ethel”, komunistyczna hagiografia szpiegowskiej pary.

„Był szpiegiem”

Po latach ocena roli Ethel i Juliusa Rosenberga dalej jest trudna. Aleksander Feklisow zostawił oświadczenie, że małżeństwo Rosenberga „było tylko pośrednikami w przekazywaniu tajemnic dotyczących bomby atomowej”, a o główne sprawstwo oskarżył Klause Fuchsa. Przyznał jednak, że Julius Rosenberg „był jego oddanym agentem”, dostarczającym mu tysięcy ściśle tajnych raportów z przedsiębiorstwa Emerson Electric Manufacturing Co. Z kolei Nikita Chruszczow potwierdził w autobiografii, że to Rosenbergowie przyczynili się do przyspieszenia prac nad sowieckim projektem atomowym.

Odtajnione w latach 90. w Stanach Zjednoczonych dokumenty służb jednoznacznie potwierdziły, że małżeństwo Rosenberg utrzymywało „stałe kontakty” z Sowietami. W 2008 r. żyjący przyjaciel Rosenberga z college’u, Morton Sobell, człowiek, który wciągnął go do współpracy z Moskwą, publicznie przyznał, że ten „był wiernym sowieckim szpiegiem”.

Lewicowe złudzenia

Co skłaniało szerokie grupy amerykańskich naukowców, w tym wielu Żydów, do wiary w komunizm? Żyli i mieszkali za oceanem, pracowali dla rządu USA, a jednocześnie sercem byli po drugiej stronie frontu zimnej wojny.

Ową lewicowo-liberalną schizofrenię dobrze tłumaczył prof. Paweł Wieczorkiewicz: „Taką wielką maszyną udało się zorganizować dlatego, że zgromadzeni w ośrodku Los Alamos, pochodzący z różnych krajów europejskich, fizycy atomowi doszli do wniosku, że dla dobra świata, dla dobra ludzkości należy zadbać, aby Stany Zjednoczone nie dysponowały monopolu atomowym. Stąd w momencie, kiedy pojawiły się możliwości współpracy z agenturą sowiecką, chętnie i z pobudek ideowych taką współpracę nawiązali.

Diagnostyka+

Więcej
dla zdrowia



NASZE PUNKTY POBRAŃ

Słupsk, ul. Jana Pawła II 1a

pon.-pt. 7:00-15:00; pobieranie mat. do 14:30

Sobota 7:00-12:00; pobieranie mat. do 11:30

Punkt przyjazny dzieciom

Słupsk, ul. Wileńska 30

(dawna przychodnia kolejowa)

pon.-pt. 6:45-14:00; pobieranie mat. do 13:30

Sobota 7:00-10:00; pobieranie mat. do 9:30

Punkt przyjazny dzieciom

Słupsk, ul. Tuwima 23

(po przeciwnej stronie DH Manhattan
i Wokulski obok salonu sukien ślubnych)

pon.-pt. 6:30-12:00; pobieranie mat. do 11:30

Słupsk, ul. Szczecińska 59A

(przychodnia rehabilitacyjna Gryf, za US)

pon.-pt. 7:00-11:00; pobieranie mat. do 10:30

Słupsk, ul. Hubalczyków 12A/U01

(vis-a-vis Szpitala Wojewódzkiego, obok „Żabki”)

pon.-pt. 7:00-12:00; pobieranie mat. do 11:30

Słupsk, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 2

(Przychodnia Lubecki-Med Słupsk)

pon.-pt. 7:00-10:00;

możliwość umawiania się przez aplikację Booksy

Ustka, ul. Kopernika 19

pon.-pt. 6:30-12:00; pobieranie mat. do 11:30,

Sobota 7:00-10:00; pobieranie mat. do 9:30

Sławno, ul. Koszalińska 4

pon.-pt. 7:30-11:00; pobieranie mat. do 10:30

Lębork, ul. Aleja Wolności 40a

pon.-pt. 7:15-11:00; pobieranie mat. do 11:00

Sobota 7:00-10:00; pobieranie mat. do 9:30

Infolinia laboratorium tel. 59 840 24 28

diagnostyka.pl

tygodnik **Regionów**

Piątek-niedziela, 31.10-2.11.2025

ZADUSZKI

Dawne pokolenia były przekonane, że w noc zaduszną dusze zmarłych schodzą na ziemię **str. 12-13**

RECENZJE KSIĄŻEK

Łowcy duchów i inne historie - książki, które warto przeczytać **str. 18**



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Ból i żałoba w ciasnym gorsecie XIX-wiecznego savoir-vivre'u

Chociaż pogrzeb Franciszka Żwirki odbył się w 1932 roku, to widoczna na zdjęciu powyżej wdowa spełnia wymogi wyglądu ustalone jeszcze w XIX wieku. Jak wtedy celebrowano śmierć? **str. 14-16**

Czas wędrujących dusz na Pomorzu. Kiedy zmarli wracali do domów...

Joanna Surazyńska-
Bączkowska
Wierzenia

Na Kaszubach wierzono, że o północy, gdy gasną światła i biją kościelne dzwony, ziemia otwiera się na chwilę, a dusze zmarłych schodzą z cmentarzy, by odwiedzić swoje domy. W piecach rozpalano ogień, by mogły się ogrzać, na stołach zostawiano chleb i wodę.

Listopad na Kaszubach i Pomorzu to nie tylko znicze i ciche modlitwy. Dawne pokolenia były przekonane, że w noc zaduszną dusze zmarłych schodzą na ziemię, gromadzą się w kościołach, odwiedzają domy, a niekiedy proszą żyjących o naprawienie krzywd. Ten świat wyobrażeń szczegółowo opisała Bożena Stelmachowska w książce „Rok obrzędowy na Pomorzu”, a wcześniejsze, żywe relacje zebrał Izidor Gulgowski w pracy „O nieznanym ludzie w Niemczech” (1911). Z ich zapisów wyłania się spójny obraz: cześć dla zmarłych ściśle łączyła się z wiarą w realną obecność dusz wśród ludzi.

Północ: chwila, gdy dusze schodzą na ziemię

W licznych wsiach Pomorza wierzono, że punkt kulminacyjny przypada o północy. Jak notuje Stelmachowska, w powiatach kartuskim i kościerskim uważano, że dusze czyśćcowe schodzą na ziemię około godziny dwunastej i udają się do kościoła. Niektórzy twierdzili, że widzieli w świątyni światło, inni - że spotykali zjawy na drodze z cmentarza. W Gołubiu utrzymywało się przekonanie, że dusze pokutujące kierują się do miejsc, gdzie za życia zgrzeszyły. W Sierakowicach, że dusze z czyśćca, wolne od mąk, przychodzą do kościoła w uroczystość Wszystkich Świętych i zostają do Zaduszek, aby potem wraz z procesją wrócić na cmentarz.

Gościnność dla zmarłych: ciepło, jedzenie, spokój

Z tej wiary wynikał praktyczny kodeks gościnności.



Muzeum - Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydzech to doskonałe miejsce, by poznać dawne kaszubskie zwyczaje

Na pomorskich wsiach rozpalano ogień w piecach, by dusze mogły się ogrzać. Pozostawiano na parapetach i stołach jedzenie oraz wodę. W niektórych domach - jak zanotowała Stelmachowska - zastawiano nawet cały stół, a przy piecu przygotowywano ławy i wygodne miejsca do odpoczynku. W Zblewie unikano wylewania wody na podwórze w poprzek drogi przejścia, by nie „zamoczyć dusz”. W powiecie kartuskim nie spuszczano w Zaduszki psów z łańcucha, aby te nie napadły na pokutujące duszyczki. Powszechny był też nakaz ciszy: nie przędło się, nie trzepało dywanów, nie wykonywało hałaśliwych prac.

Gdy dusza przychodzi z prośbą

W przekonaniu mieszkańców dusze wracały z konkretną sprawą: szukały modlitwy, prosiły o zadośćuczynienie lub o przekazanie informacji. Stelmachowska podkreśla, że nie należało przeszkadzać duszom

na grobach ani z nimi igrać - mogło to przynieść nieszczęście w nadchodzącym roku. Nocą, zwłaszcza między Zaduszkami a świtem, łatwo było - jak mówiono - natknąć się na duszę w drodze do kościoła albo w miejscach, w których zmarły niegdyś pracował.

„Nie rozmawiaj z duchem, jeśli nie wiesz, jak go odprawić”

Tu do głosu dochodzą zapisy Izidora Gulgowskiego. Badacz opisał ludzi, którzy „umieli zadawać się z duchami”. W jednej z relacji w pewnym domu punktualnie o dziesiątej wieczorem słyhać było stukanie. Wezwany człowiek zapytał: Wielki duchu,

W kartuskim nie spuszczano w Zaduszki psów z łańcucha, aby te nie napadły na pokutujące duszyczki. Powszechny był też nakaz ciszy

czego sobie życzysz?, po czym zapadł w uśpienie. Oświadczył później, że to dusza złodzieja, który w tym miejscu zakopał pieniądze i nie zazna spokoju, dopóki krzywda nie zostanie naprawiona. Wypowiedział więc formułę odprawiającą: Odejdź w imię Tego, który stworzył niebo i ziemię i nie wracaj wcześniej niż wczoraj. Pukanie ustało, a we wskazanym miejscu wykopano monety.

W innej historii mężczyzna spotkał na cmentarzu duszę proszącą, by zaprowadzić ją do kościoła. Tam czekała druga - dawny wróg. Obie nie mogły być zbawione, dopóki nie połączą się gestem podania dłoni. Po połączeniu rąk widzenie znikło.

Nabożeństwo dusz i „pełny kościół zmarłych”

Relacje o tym, że dusze gromadziły się w kościele, są liczne. W powiecie gnieńskim - jak notuje Stelmachowska -

pewna starsza kobieta, słysząc nocą dzwonicie, pobiegła na mszę, myśląc, że to poranne nabożeństwo. Wchodząc, ujrzała tłum ludzi i księdza; podczas offertorium składano rozmaite ofiary, nawet kosztowności. Po zakończeniu wszystko nagle znikło i dopiero wtedy pojęła, że była świadkiem nabożeństwa dusz pokutujących. W Lignowach opowiadano, że podczas nocnych obrzędów dusze kładą się do katafalku w takiej liczbie, jakby szpilek nasypało.

Zwyczaje rybaków: morze „żąda ofiary”

Szczególnie poruszające są relacje znad morza. W Gdyni rybacy nie wypływali w Zaduszki, bo uznawano to za zły omen. Kiedy pewien rybak zlekceważył przestrożę, nadeszła burza, łódź się wywróciła, sieci i ryby wpadły do głębi, a on ledwo ocalał życie. W innych osadach mówiono, że tego dnia morze jest „wezbrane aż do najwyższego punktu”

i domaga się ofiary - dlatego na połów wybierano się niechętnie i tylko w razie konieczności.

Lokalne niuansy: od Tucholi po Działdowo

Mapa pomorskich wierzeń jest gęsta i zróżnicowana:

Powiat tucholski i sępoleński - ostrzegano, by nie pluć na prawą stronę od wejścia do domu, ponieważ tam stoją dusze; w Chojnickiem i okolicy wierzono w szczególną ochronę w Zaduszki.

Zblewo (pow. starogardzki) - wody nie wylewano ukośnie na podwórze; w domu dostawiano ławy przy piecu, a nawet krzesła, aby dusze mogły odpocząć.

Powiat brodnicki - wyjaśniano, że wieczorem i nocą w dzień Wszystkich Świętych dusze mają „urlop” udzielony na czas modłów; żywi odmawiali sobie przyjemności, a modlitwą i dobrymi uczynkami starali się przyczynić do zbawienia zmarłych.

Powiat działdowski - zdarzały się opowieści o nikczemnych duszach. Mówiono np. o chłopie, który zamiast iść do kościoła, odwiózł Żydówkę do miasta; wracając koło cmentarza ujrzał światelka, podszedł - i znikły. Błądził całą noc po manowcach, nie mogąc trafić do domu, aż do rana.

Jaźwiska - podczas wylewania wody starano się przemówić lub przynajmniej zaznaczyć swoją obecność, aby nie skrzywdzić przechodzących dusz.

Jak „zobaczyć duszę”: sęk w ławce i czarny kot

Etnograficzne zapiski przynoszą też szczegółowe „instrukcje” - dziś brzmią egzotycznie, ale są ważnym świadectwem kultury. W jednym z przypisów Stelmachowska notuje, że duszę człowieka można zobaczyć, patrząc przez ubytek sęku w kościelnej ławce. Jeśli to dobry człowiek - poprzedza go anioł; jeśli zły - diabeł, a za nim idzie smutny, zapłakany anioł. Niesamowite zjawiska w polu lub na drodze, jak trąba powietrzna („kręci-szek”), tłumaczono diabłem pędzącym duszę nieochrzczonego dziecka. W razie takiego spotkania wypowiadano słowa egzorcyzmu w ludowej formie. Wierzono też, że pokutującą duszę da się dojrzeć, patrząc ponad prawe ucho czarnego psa.

Obok praktyk i zakazów żyła również pamięć pieśni zaduszkowych. W powiecie chełmińskim śpiewano rozbudowany utwór, w którym przyroda odpowiadała na wołanie dusz. Jego początek brzmiał:

„W dzień zaduszny wiatr powiewa,

Na cmentarzu skrzypią drzewa.

Nie skrzypią tam stare drzewa,

Tylko dziad pod krzyżem śpiewa”.

Z czasem refren przechodził w prośby kierowane do nieba, ziemi, wód, lasów, a nawet piekła i czyśćca, by przyjęły dusze zmarłych i ulżyły im w cierpieniach. To ważny ślad dawnej pobożności: pieśń była równocześnie katechezą i praktyką pamięci o zmarłych.

Domy, drogi, pola: przestrzeń wspólna żywych i umarłych

W opisach Stelmachowskiej i Gulgowskiego uderza codzienność tych wierzeń. Dusze pojawiają się nie tylko na cmentarzu czy w kościele, lecz także w kuchni przy piecu, na progu domu, na rozstajach, nad stawami („kacze doły”, „za- bińce”), na polach i brzegach jezior. Lud wyobrażał sobie duszę jako wielką, szarą postać przykrytą chustą, niekiedy z koszykiem - jakby w drodze do pracy. Pokutujące dusze siadają na kamieniach i wołają o ratunek; poranne dusze bywają „jasne” i „porządne”, nocne zaś - niepokojące. Niezależnie od szczegółów lokalnych obraz jest jeden: pamięć o zmarłych była praktyką etyczną. Jeśli dusza pojawiała się z prośbą, należało jej pomóc - modlitwą, jałmużną, a czasem realnym naprawieniem szkody.

W przytoczonych przez Gulgowskiego opowieściach spokój przywraca dopiero zadośćuczynienie: oddanie skradzionych pieniędzy, pojednanie z dawnym wrogiem. W wersji pomorskiej Zaduszek nie ma grozy dla samej grozy; jest konkretny obowiązek żywych wobec zmarłych.

Dzisiejszy Pomorzanin nie musi wierzyć w „kręciszka”, by rozumieć przesłanie utrwalone w pamięci regionu. Zwyczaj rozgrzanego pieca i chleba zostawionego na oknie uczy gościnności, zakaz hałasu - szacunku dla ciszy żałoby, opowieści o pojednaniu - że krzywdy warto naprawić, póki żyjemy. A historie o rybakach, którzy zostali w porcie, przypominają o pokorze wobec sił natury.

Listopadowe wróżby, przysłowia i patronki Pomorza

Listopad na Pomorzu był czasem szczególnym - między końcem jesiennych prac a początkiem zimowego odpoczynku. Jak pisała Bożena Stelmachowska w książce „Rok obrzędowy na Pomorzu”, lud „powstrzymywał się od zaklęć urodzajów”, bo rok rolniczy był już zamknięty. Pozostawało obserwowanie nieba i czekanie na znaki zbliżającej się zimy.

Najważniejszym listopadowym dniem był 11 listopada - św. Marcina. Tego dnia



FOT. MUZEUM KASZUBSKI PARK ETNOGRAFICZNY WIDZĘ

Wierzono, że dusze czyśćcowe schodzą na ziemię i udają się do kościoła

na wsiach kończyły się roczne umowy służebne. Jak notuje Stelmachowska, służący „wracali z marcinakami”, czyli z zapłatą i odpawą, a ci, którzy zostawali, mówili, że „godzą się na nowy rok służby”.

Wspominano też, że dzień św. Marcina obchodzono wesoło - przy gęsi, ogniu i muzyce.

Z tym świętem wiązano liczne przysłowia pogodowe: „Wiatr od południa w wigilię św. Marcina - będzie zima łagodna”, „Gdy św. Marcin po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie”, „Gdy św. Marcin po wo-

dzie, Boże Narodzenie po lodzie”.

Te krótkie zdania stanowiły ludowy kalendarz, w którym każda zmiana wiatru i temperatura zapowiadały przyszłą pogodę.

„Pomyśl o pierzynie”

Drugim ważnym listopadowym dniem była św. Katarzyna (25 listopada) - patronka kobiet, panien na wydaniu i prządek. Na Pomorzu ten dzień zamykał okres jesiennych prac gospodarskich i był jednocześnie symbolicznym początkiem

zimy. Bożena Stelmachowska notuje, że od św. Katarzyny „zaczynają się długie wieczory i prądkowe spotkania kobiet”. Gospodynie kończyły wtedy ostatnie porządki w obejściu, zwoziły do stodoły drewno i szykowały zapasy, bo „po Katarzynie w chałupie już tylko kołowrotek nuci”.

Na Kaszubach mawiano: „Św. Katarzyna po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie”, „O św. Katarzynie pomyśl o pierzynie”. W wielu wsiach Pomorza i Kociewia ten dzień był też czasem wróżb i zabaw panień-

skich. Dziewczęta puszczały wosk, liczyły polana w ogniu lub nasłuchiwały, z której strony zaszczeka pies - „stamtąd przyjdzie kawaler”.

Wieczorami spotykały się na wspólne przedzenie i śpiewy, często w jednej chacie, by razem „zaplać nici i wróżyć z cienia kółka wrzeciona”.

W tym dniu panowała też pobożna powaga - nie przysięgowało się do ciężkich prac, nie sztyto ani nie tkano, by „nie poplać sobie zimy”. Zaczynał się okres długich, cichych wieczorów przy ogniu, podczas których opowiadano legendy, modlono się za zmarłych i śpiewano pieśni o świętych.

Bożena Stelmachowska podkreśla, że choć listopad „nie jest tak bogaty w przysłowia jak inne miesiące”, to właśnie te nierzadkie, które przetrwały - jak katarzynowe porzekadła o pierzynie i lodzie - oddają najlepiej ducha pomorskiej codzienności. Zwięzłe i rytmiczne, łączyły obserwację przyrody z wiarą i doświadczeniem życiowym. Pomorzanie potrafili z kierunku wiatru, wilgoci ziemi i dat święt świętych odczytać nie tylko pogodę, ale i rytm własnego roku. W tych prostych zdaniach zawierała się cała ludowa mądrość: pogodna cierpliwość wobec zimy, ufność w cykl natury i poczucie, że wszystko w świecie ma swój czas - również chłód, cisza i śnieg. ©

AUTOREKLAMA

0011425509

Maraton Fitness w Koszalinie – dzień pełen energii, tańca i pozytywnych emocji!



FOT. ARCHIWUM



FOT. ARCHIWUM



Monika Latkowska
Nasza Akcja

Już 16 listopada Hala Widowiskowo-Sportowa w Koszalinie zamieni się w prawdziwe centrum ruchu, radości i motywacji! Czekamy na Was od godz. 10:00.

Jesień wcale nie musi być szara i ponura - w Koszalinie będzie gorąco jak latem! Maraton Fitness to doskonała okazja, by wyrwać się z codzienności, zadbać o swoje zdrowie i poczuć siłę wspólnego ruchu. Przygotowaliśmy dla Was pro-

gram, który zadowoli zarówno miłośników intensywnych treningów, jak i tych, którzy dopiero rozpoczynają swoją przygodę z fitnessem.

Każdy blok zajęć to inna forma aktywności - od energicznej Zumby po relaksującą jogę. Dzięki temu nuda nie ma szans, a każdy uczestnik znajdzie coś dla siebie.

Co na Ciebie czeka?

Zumba - eksplozja rytmu, uśmiechu i radości! Tych, którzy kochają taniec i pozytywne emocje, porwie niezastąpiona

Anna Wojnarowska - Zumba Koszalin. Jej energia potrafi zarazić każdego, a po kilku minutach na parkiecie zapomnisz o zmęczeniu.

Strong Nation - intensywne połączenie muzyki, siły i wytrzymałości. Ten trening pokaże Ci, że granice istnieją tylko w głowie! Poprowadzą go Anna i Michał Wojnarowscy, dynamiczny duet, który doskonale łączy precyzję ruchu z motywującą atmosferą.

Fit Dance - taniec, fitness i zabawa w jednym! Prowadząca Natalia Ludwiczak udowodni, że taniec to nie tylko

świetny sposób na spalanie kalorii, ale też na poprawę humoru i pewności siebie. Każdy ruch to krok w stronę lepszej kondycji i dobrego nastroju!

Bachata - gorące rytmy prosto z Dominikany! Tego dnia Koszalin na chwilę zamieni się w tropikalną wyspę, dzięki Marcie Kępie i Brianowi Hilario Celaya z Latin Hips by King Dance. Ich pasja i energia sprawią, że nawet najbardziej nieśmiali ruszą na parkiet.

Joga z Agnieszką Nowak ze Szkoły Jogi Klasycznej Natarajato idealnie zakończy intensywnego dnia. Czasna oddech, wyci-

szenie i rozciąganie - chwila harmonii, która pomoże zregenerować ciało i umysł po emocjonujących godzinach zajęć.

Maraton Fitness to nie tylko seria zajęć - to wydarzenie, które łączy ludzi. Wspólna energia, muzyka i uśmiechy sprawiają, że atmosfera jest niepowtarzalna.

Nie potrzebujesz doświadczenia - wystarczy wygodny strój, butelka wody, mata i chęć dobrej zabawy. Instruktorzy zadbają o to, by każdy czuł się swobodnie i mógł ćwiczyć we własnym tempie.

Zarezerwuj niedzielę, 16 listopada, od 10:00 do 16:00

i przyjdź do Hali Widowiskowo-Sportowej w Koszalinie.

Bilety w cenie 39 zł można nabyć już teraz - liczba miejsc jest ograniczona. Bilety do nabycia na stronie www.kupbilecik.pl

Niech ten dzień będzie Twoim krokiem w stronę zdrowia, uśmiechu i dobrej energii! Przyjdź, zatańcz, pocuj rytm i przekonaj się, że Maraton Fitness w Koszalinie to wydarzenie, którego nie można przegapić!

PARTNER WYDARZENIA



Lamenty w wyższych sferach były źle widziane. Arystokraci żałobę nosić mieli godnie

Aneta Aleksandra Duda
Słupsk

Jak nasi przodkowie przeżywali i celebrowali śmierć i żałobę? O zwyczajach związanych ze śmiercią, pogrzebem i żałobą kultywowanych wśród arystokracji i ziemiaństwa w II połowie XIX wieku do 1939 roku opowiada dr Aneta Aleksandra Duda ze Słupska. Znawczyni historii materialnej XIX wieku, organizatorka prelekcji z pokazami historycznych kostiumów, autorka wielkiej monografii rodu Radziwiłłów „Ordynat ołtycki książę Janusz Radziwiłł i jego rodzina”.

Śmierć bliskiej osoby to przeżycie traumatyczne, powodujące wytrącenie z równowagi duchowej, zmieniające często nasze życie w sposób nieodwracalny. Współczesna wiedza psychologiczna sugeruje nie tłumione wyrażanie uczuć bólu i żalu, pozwala na swobodne przeżycie żałoby. Takie zachowania w XIX w. dopuszczalne były jedynie dla warstw niższych, natomiast ziemiaństwo i arystokracja kierowały się swoistym kodeksem, niepozwalającym na okazywanie uczuć, głośne płacze, lamenty, co nie oznacza oczywiście, że takowe, zwłaszcza na pogrzebach, się nie zdarzały. Poza współczuciem dla wdowy czy matki opiekującej dzieckiem, dominował jednak pewien niesmak i poczucie nieostojowości takich reakcji. Osoba z wyższych sfer powinna była zachować kamienną twarz, spokój, okazać godność i powagę chwili wyrażającą się w powolnych, majestatycznych ruchach, wyprostowanej sylwetce.

Żałoba w gorsecie savoir-vivre'u

Jednak żal i rozpacz musiały w jakiś sposób znaleźć ujście i temu służyły drobiazgowo i skrupulatnie zasady savoir-vivre'u dotyczące wszystkich sytuacji związanych ze stratą bliskiej osoby.

Przepis mówiący o zasłanianiu przez wdowę twarzy gęstym woalem pozwalał jej na łzy, smutek, ukryte jednak przed wzrokiem ludzkim.

Wskazówki mówiące o nieuczestniczeniu w spotkaniach



Pogrzeb osób zmarłych z klas niższych organizowany był według zupełnie innych zasad niż w przypadku osób z ziemiaństwa i arystokracji

towarzyskich przez pewien okres miały dać czas potrzebny do oswojenia się z nową, trudną często sytuacją - musimy pamiętać, że często kobieta z dziećmi, nawet ziemianka, jeśli jej mężowi dbanie o majątek czy zarządzanie interesami nie powiodło się, po jego śmierci mogła zderzyć się z problemami finansowymi. Tu zwykle spieszyła na pomoc rada familijna złożona z najbliższej poważanych bliskich krewnych, mężczyzn, którzy podejmowali się zarządzać jej majątkiem lub pomóc przetrwać czas np. do ponownego zamążpójścia, wysłać dzieci na pensję i do szkół, ograniczyć wydatki na prowadzenie domu. Taka pomoc przy braku środków była wybawieniem, natomiast przy ich posiadaniu często stawała się dla wdowy wręcz opresyjna, bo miała nad sobą ustanowioną kuratelę, ograniczającą jej swobodę. Bywało więc różnie...

Śmierć dobra

Za najlepszą śmierć, traktowaną jako łaskę Stwórcy, uważano spokojne odejście w gronie bliskich. Dzieci i rodzina zjeżdżały się do domu umierającej osoby, by otrzymać jej bło-

gosławieństwo (i często przypomnieć swoją osobę jako ewentualnego spadkobiercę), pożegnać się.

W XIX w. w wielu domach po śmierci bliskiej osoby zasłanianiu lustra i okna czarną materią, tzw. kirem, i zatrzymywano zegary na godzinie śmierci. Ustawywały spotkania towarzyskie i wyjścia, rodzina przywdziewała żałobę, zamawiała msze, ustalała datę pogrzebu, zazwyczaj dającą spokojny czas na dotarcie dalszych krewnych, i rozsyłała zawiadomienia.

Zmarły, dopóki było to możliwe, spoczywał otoczony intensywnie pachnącymi kwiatami i palącymi się świecami w salonie zmienionym na miejsce modłów. Następnie przenoszony był w trumnie do kościoła.

Zawiadomienia

W tym czasie rodzina wysyłała zawiadomienia o śmierci i przygotowywała stroje żałobne oraz przebieg pogrzebu, jeśli miał być szczególnie uroczysty. Wiadomość o zgonie przesyłano w listach drukowanych lub litografowanych z czarną obwódką, także drukowano w gazetach. Niekiedy w obawie, by kogokolwiek nie

pominać, dodawano na klepsydrze: „Osobne zaproszenia rozsyłane nie będą”.

Do bliskich krewnych wysyłano listy odręczne, zapieczętowane czarnym lakiem, oczywiście także na papierze z obwódkami. Papier taki można było zamówić z herbem wytłaczanym, jeśli rodzina była utytułowana.

Na początku żałoby na papierze obwódki były grube, stopniowo się zwężały w miarę upływu czasu, bowiem przez pewien okres trwania żałoby używano go do pisania zwykłych listów. Zwyczaj ten utrzymywał się do lat trzydziestych XX w., wtedy oczywiście już listów nie lakowano, a zaklejano.

Osoby, które otrzymały zawiadomienie, odpowiadały kondolencjami, wysyłanymi w kopertach lakowanych na fioletowo. U stróża domu, szwajcara lub w holu pałacu zostawiano także arkusz papieru z przyborami do pisania. Zapisywały się na nim osoby przybywające z kondolencjami osobście, których nie zdołano przyjąć.

Zwyczaje pogrzebowe

Kościół na czas uroczystości pogrzebowej zwykle zdobiono

kirem, jedliną i kwiatami. Osoby otrzymujące zawiadomienie i mieszkające na miejscu obowiązane były przyjść chociaż na nabożeństwo, jeżeli nie mogły lub nie chciały być na pogrzebie. W kościele panie modliły się zawsze bez woalki, zdejmowano także rękawiczki, obowiązkowo przed przyjęciem sakramentu komunii.

Jeśli składano do grobu młodą pannę, niekiedy jej przyjaciółki ubierały się na białą, a młodzieńcy niosący trumnę ubierali białe krawaty oraz przypinali do fraków gałązki cyprysu. Postrzegano ten zwyczaj jako formę „družbowania” młodej dziewczynie w przejściu do wieczności.

Umierający często życzyli sobie, by pochować ich w odpowiednim ubraniu - strojnym, skromnym lub np. w habicie tercjarskim czy innej wspólnoty, jeśli do niej należeli. Dojrzałe kobiety zawsze ubierano w ciemny strój, zazwyczaj czarny lub fioletowy, natomiast młode panny i mężatki chowane były w strojach ślubnych. Starano się, by suknie były na tyle długie, by fragmenty mogły zwieszać się z trumny po przybiciu wieka. Wkładano tak jak dziś w dłonie zmarłych

przedmioty związane z wyznawaną wiarą, ale też przedmioty lubiane za życia, np. fajkę.

Podczas ceremonii kościelnej palono wiele świec dla odpowiedniej oprawy przemawiających osób, przypominających zasługi, zwłaszcza mężczyzny. W przypadku ziemiaństwa i arystokracji, jeśli odchodził ostatni męski potomek rodu, łamano podczas pogrzebu tarczę herbową i szablę zmarłego, niekiedy wprowadzano ulubionego konia z ową tarczą i szablą. W taki sposób chciał być uhonorowany hr. Adam Branicki, ostatni właściciel Wilanowa, nieposiadający męskiego potomka. Niestety, jego śmierć nastąpiła w 1947 r. i komuniści nie pozwolili na taką szlachecką ceremonię.

Kondukt pogrzebowy

Po pogrzebie formował się kondukt pogrzebowy, w którym ściśle przestrzegano odpowiedniej kolejności idących. Za pogrzebem wszyscy szli pieszo - tylko ludzie wiekowi, ułomni lub chorzy mogli jechać w karetach, których latarnie i szyby pokrywano krepą, a koniom przy uprząży dopinano krepowe rozety. W karetach jechały także dzieci, jeśli postanowiono je zabierać na pogrzeb, bowiem z oczywistych względów raczej tego unikano.

Żałobniczek z najbliższej rodziny, obowiązkowo wdowa, szły spowite w długi welon, zwieszający się z tyłu i przodu. Obowiązywało to także w dwudziestoleciu: na pogrzebie Piłsudskiego w 1935 r. widzimy jego żonę Aleksandrę w takim właśnie welonie.

Mężczyźni szli z odkrytymi głowami na znak szacunku dla zmarłego. W przypadku wielkiego upału lub zimna mieli jednakże prawo po pewnej chwili nakryć głowy.

Na początku konduktu kroczyła najbliższa rodzina. Najpierw np. wdowa podtrzymywana przez najbliższego jej krewnego lub najpoważniejszego wiekiem albo dorosłego syna. Pozostałe kobiety najbliższe zmarłemu ujmowały pod rękę także obcą sąsiadkę z orszaku. Podobnie jadąc powozem z racji wieku lub stanu zdrowia, także nie jechały same, tylko z inną kobietą lub krewnym. Być może chodziło tu o zabezpieczenie delikatnych pań z towarzystwa przed omdleniem i samotnym upadkiem w tłumie, na co patrzono jako na wydarzenie ogromnie nieostojowe.

Bardzo ważny był nastrój smutku, choć - jak powiedziano wcześniej - nie do przyjęcia na pogrzebie wyższych sfer były lamenty, głośne płacze czy np. zawołanie zawodowych płaczków, wynajmowanych przy pogrzebach bogatego gminu. Natomiast, co ciekawe, piętnowano także zachowanie bardzo obojętne, dowodzące, że zmarły nie zasłużył

sobie na pamięć i szacunek. Taka sytuacja miała miejsce w Nieświeżu w 1911 r., kiedy odbywał się pogrzeb Adama ks. Radziwiłła, który niechłubnie sprzedał swój majątek jednemu z twórców Hakaty. Uczestniczący w ceremonii Janusz ks. Radziwiłł pisał do żony, że żałobnicy prezentowali tak mało żalu, że było to aż nieprzyzwoite...

Podczas eksportacji trumny do krypty grobowej w siedzibie rodu, np. w pogrzebach Radziwiłłów w Nieświeżu, trumna ordynata umieszczona była na karawanie zaprzężonym w czwórkę lub szóstkę koni, bogato ozdobionych czarnymi piórami i haftowanymi czarnymi derkami. Często też na znak symbolicznego opuszczenia doczesności, na początku szeregu karet, jeśli takie były, jechała pusta i zamknięta kareta zmarłego, z zapalonymi i osłoniętymi krepą latarniami oraz stangretem w czarnej, żałobnej liberii.

W latach sześćdziesiątych XIX w. używano jeszcze specjalnych pochodni neutralizujących przykrą woń rozkładającego się ciała podczas przejścia konduktu i tu pojawiała się niebezpieczeństwo zapalenia się szerokiej sukni, krynoliny od kawałków upadającej płonącej główni. Pamiętamy, że suknie zamiatały ziemię, a szczególnie na czas pogrzebu zalecano stroje powłóczyste, ponieważ według współczesnych to bardziej podkreślało smutek. Mężczyźni spotykający kondukt na drodze miejskiej zdejmowali cylindry, a kobiety robiły znak krzyża na piersiach.

Kogo nie zapraszano na pogrzeb lub kto nie powinien się być na nim pojawić? Na początku XX wieku sugerowano, by w kondukcji nie szła matka chowająca swoje dziecko, ponieważ było to dla niej zbyt dramatyczne przeżycie. Niestosowne było przyjęcie lekarza na pogrzeb swojego pacjenta, chyba że był z nim zaprzyjaźniony. Na pogrzeb wdowca lub wdowy powtórnie zaślubionej nie zapraszano krewnych pierwszej żony lub pierwszego męża. Wyjątkiem była sytuacja, kiedy utrzymywano nadal dobre stosunki lub kiedy z pierwszego związku były dzieci.

Kwiaty żałoby i smutku

Za najstosowniejsze kwiaty do złożenia na grobie uznawano wszelkie białe i fioletowe z dodatkami liści palmowych, laurowych, cyprysów i bluszczu. Kwiaty w postaci wiązanek, wieńców, bukietów lub w doniczkach wysyłane były do domu lub do kościoła.

Zwyczaj ozdabiania świeżych grobów wieńcami pojawił się w latach siedemdziesiątych XIX w. Wcześniej wieńczono, czyli obdarowywano bogatymi wieńcami głównie wybitne osoby publiczne podczas przy-



Zaduszki w Krakowie w 1933 roku

jazdów czy śpiewaczki. Były to wieńce z laurem, kojarzące się z uhonorowaniem wyjątkowej osoby żyjącej, z radością z jej przyjazdu. Później dopiero zaczęto kłaść je na grobach młodych panien i młodzieńców oraz wybitnych jednostek, następnie zwyczaj się upowszechnił. Na początku XX w. był on ganiony jako zbytek, a także wskazywano na częste błyskawiczne znikanie wieńca tuż po pogrzebie. Cóż, skąd my to znamy...

Już w XIX w. wprowadzano zwyczaj składania datków na cel dobroczynny zamiast kupowania kwiatów na grób. Funkcjonowało już także zastępowanie kwiatów naturalnych sztucznymi – robiono je z materiału, porcelany, a także... z pereł. Tu także obowiązywała zasada, że dla zmarłych starszych wiekiem posyłało kwiaty ciemniejsze, dla młodych – białe.

Wstęgi do wieńców i bukietów tak jak dziś były czarne, fioletowe lub białe, a napisy czarne, złote lub srebrne. Unikano wstęg w kolorach jaskrawych. Dla ludzi wybitnych i zasłużonych przygotowywano wieńce z liści dębu lub lauru.

Stypa

W kręgach arystokracji i ziemianstwa nie praktykowano poczęstunku po pogrzebie zwanego stypą, jeśli pogrzeb odbywał się w mieście. Natomiast jeśli żałobnicy przyjeżdżali na wieś, należało ich odebrać powozem lub autem (w XX w.) ze stacji, a także podjąć śniadaniem lub obiadem.

Nie miało być to wystawne przyjęcie, byłoby to w złym tonie. Rodzina zmarłego nie była obowiązana na nim być, udział był dobrowolny, najważniejsze było podjęcie dalszych krewnych.

Zachowanie na stypie powinno było być jak najbardziej

skromne i powściągliwe, źle odbierane było nadmierne konsumowanie, nie mówiąc o spożywaniu alkoholu, podawaniego oszczędnie. Przekazy dotyczące stypy są jednak zróżnicowane, wydaje się, że zwyczaje mogły być tu różne. W wyższych sferach starano się jednak nie zbliżać do tradycyjnej biesiady wydawanej po pogrzebach bogatszych chłopów.

Kondolencje i wizyty

Po pogrzebie rodzina dziękowała za składane kondolencje, wysyłane przesyłki do ozdoby trumny i wzięcie udziału w uroczystości żałobnej, wysyłając listy na papierze z czarną obwódką oraz drukowane w dziennikach. Z strony osób znających zmarłego i rodziny dalszej bardzo istotne było wyrażenie swojego żalu i współczucia rodzinie.

Wszystko oczywiście było dokładnie przewidziane w przepisach towarzyskich. Najpierw wysyłano listy kondolencyjne pieczętowane fioletowym lakiem – czynili to członkowie rodziny, bliźni i dalsi lub osoby, które chciały wyrazić żal po osobie zasłużonej lub dla nich osobiście ważnej. Znajomi składali swoje karty wizytowe osobiście, wtedy zaginano prawy dolny róg lub cały prawy brzeg w stronę przeciwną tej, na której jest nazwisko, czyli na niezapisaną. Składano je w domu osoby, od której otrzymali zawiadomienie o pogrzebie.

Rodzina i przyjaciele składali wizytę kondolencyjną w domu zmarłego ok. trzech tygodni po pogrzebie, nie przekraczając tego terminu, ubrani na czarno, w czarnych rękawiczkach, bez dzieci. Dokładne określenie tego czasu ma swoje uzasadnienie psychologiczne – po trzech tygodniach duży ból po stracie mógł już nieco zleżeć, rodzinie było łatwiej za-

chować się powściągliwie. Rozmowa o zmarłym na tym etapie przynosiła ukojenie, a odwiedzający skupiali się na tym, by podnosić jego zalety i wspierać na duchu bliskich. Jednak należało unikać rozmowy o zmarłym przynajmniej dopóty, dopóki osoba, z którą się rozmawia, sama nie wspomni o nim. Nie należało także dać ponieść się emocjom, co było bardzo istotne. Wizyty kondolencyjne nie powinny były trwać dłużej niż kwadrans.

Natomiast rodzina zmarłego składała wizyty lub zostawiała karty u wszystkich ważniejszych osób uczestniczących w pogrzebie, czyniła to ok. sześciu tygodni po pogrzebie.

Czas żałoby

Czas trwania żałoby był zróżnicowany. Najdłuższa była żałoba noszona przez wdowy, trwała ona dwa lata: rok żałoby wielkiej, sześć miesięcy zwyczajnej i sześć miesięcy półżałoby. W innej wersji, staropolskiej, był to rok i sześć niedziel, czyli tygodni. Był to także okres żałoby dla wdowców i dzieci po rodzicach.

Żałoba po rodzeństwie nie wymagała welonu i krepowej sukni, jedynie obszyć przy mankietach i kołnierzyku. Kobiety zakładały wełniane suknie, a następnie jedwabne. Trwała ona ok. pół roku.

Po dziadku lub babce wnuczki po trzech miesiącach zdejmowały krepę i zakładały zwykłe czarne suknie, a pod koniec roku młodzież mogła nosić kolor popielaty i biały z czarnym.

W przypadku bliźszych krewnych – ciotek i wujów – żałoba obowiązywała kwartał, po dalszych krewnych noszono ją kilka tygodni. Kobiety nie musiały w tym przypadku spowiadać się w ponurą krepę.

Żałoba po dzieciach pozostawała sprawą prywatną; w XIX w. raczej jej nie stosowano, choć

w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. to się zmieniło.

Po dalszych krewnych należało nosić żałobę, kiedy rodzina zawiadomiła o jego śmierci. Małżonkowie żyjący w separacji także byli zobowiązani do noszenia żałoby po sobie. Dobrowolne było nałożenie żałoby po śmierci przyjaciółki i niektóre panie tak czyniły. Co ciekawe – jeśli odziedziczyło się sporą sumę po osobie niespokrewnionej, także było się zobligowanym do kilkutygodniowej żałoby.

Strój żałobny

Pod największym ostrzałem spojrzeń były oczywiście kobiety, które musiały być spowite w żałobną krepę długiej sukni i welonu, zasłaniającego sylwetkę z tyłu i przodu. Woal musiał być spuszczonej nawet w największy upał. Tak powinna była wyglądać wdowa; najbliższe krewnie zmarłego zasłaniały twarze gęstymi czarnymi welonami. Welony upinane były na kapeluszach, często na tzw. kapotkach, czyli kapelusikach kojarzących nam się dziś z Czerwonym Kapturkiem, tylko czarnych.

Suknia na pogrzeb powinna była być powłóczysta, z obszyciami czarnym materiałem w postaci pasków. W różnych okresach panowała moda także na białe paski naszyte na czarnej sukni, podkreślające czerń stroju.

Żałoba, jako nie tylko oznaka żalu po stracie osoby, ale i dowód szacunku, nie była kwestią prywatną tak jak dziś, stawała się pewną formą życia społecznego. Zlekceważenie jej zasad mogło spowodować daleko idące skutki negatywne. Przykładem z połowy XIX w. takiej sytuacji było poślubienie przez Elizę Krasieńską, wdowę po Zygmuncie, ukochanego Ludwika Krasieńskiego przed zakończeniem żałoby, za co spo-

tkął ją powszechny ostracyzm towarzyski (i wielkie szczęście w małżeństwie, w którym wreszcie to ona była jedyną ukochaną kobietą, nie dzieląc się mężem z Delfiną Potocką, jak to było w czasie trwania jej małżeństwa z Zygmuntem).

Pierwszą fazą żałoby była tzw. wielka, ciężka, gruba. Charakteryzowała się zakładaniem tylko matowych strojów, skromnych, bez ozdób, a twarz zasłaniano welonem. Krój sukni stosowano do panującej mody, najistotniejszy był tu materiał – preferowano wełnę i krepę. Na dole sukni naszywano zależnie od mody albo zakładki czarne i pomiędzy nimi białe, ale tylko białe. Strój kobiety był bardzo istotny, zwłaszcza wdowy, bowiem to ona stanowiła niejako „żałobną reprezentację rodziny”. Kobiety zakładające na co dzień suknie kolorowe, zmieniały swój wygląd radykalnie, kiedy mężczyźni i tak ubrani zwykłe ciemno, stosowali jedynie pewne dodatki. U panów ciężka żałoba polegała na czarnym ubiorze w całości, także na czarnym krawacie wykonanym z krepy lub matowego jedwabiu.

Druga faza żałoby, tzw. zwyczajna, dopuszczała cieńsze tkaniny, bardziej ozdobne i nieco błyszczące, także jednak. Dozwolone były dodatki ozdobne do sukni i żałobna biżuteria. Można było odpruć naszytą czarno-białą.

Półżałoba u kobiety dopuszczała także suknie szare lub fioletowe, kratki i delikatną biżuterię. Spódnice sukni (suknią nazywano dzisiejszą garsonkę) można już przybrać koronką i wstążką liliową lub popielatą. Także dodatki, jak parasolki i rękawiczki mogły być czarne lub popielate. W latach siedemdziesiątych XIX w. precyzowano, że mężczyzna powinien nosić grubą żałobę tylko sześć tygodni, czyli nosić czarne ubranie, a poły fraka, surduta, płaszcz winny być obszyte białym sznurkiem. Kapelusz powinien być prawie w całości owinięty w czarną krepę. Żałoba zwykła usuwała białe naszytą i zmniejszała krepę na kapeluszu, po upływie pół roku dozwolone były szare spodnie, w lecie natomiast biała kamizelka. Jak więc widzimy, to zadaniem kobiety było okazywać większy żal przez czarny i ciężki strój, mężczyzna miał taryfę ulgową...

Mężczyźni pozostający w służbie wojskowej na znak żałoby nosili obszyte krepą na ramieniu, a także czarną krepę u rękawicy szabli na znak żałoby narodowej. Funkcjonowała także żałoba oficjalna, czyli po dalekich krewnych, trwająca od sześciu do ośmiu tygodni, odznaczająca się także noszeniem przepaski krepowej na ramieniu. Ta forma utrzymywała się najdłużej, preferowano ją u panów także do 1939 r.

CIĄG DALSZY NA STRONIE 16

CIAĞ DALSZY ZE STRON 14-15

Wszystkie aspekty żałoby, w tym stroje żałobników i organizację pogrzebu w najmniejszych detalach, regulowały w wyższych sferach XIX-wiecznej Polski ściśle zasady.

Bizuteria żałobna

W trzeciej fazie, żałoby lekko dopuszczalne było noszenie biżuterii żałobnej, czyli delikatnych ozdób z hebanu, lawy, onyksów, szkła, emalii czarnej, a głównie gagatu, zwanego z angielska dżetem (od jet). Mało znany dziś materiał to bitumiczna odmiana węgla brunatnego, z której wykonywano piękne zawieszki, bransoletki, kolczyki. Włączano także ametysty, jako że fiolet był jednym z kolorów półżałoby. Nie noszono natomiast złota, drogich kamieni kolorowych i diamentów.

Dopuszczalne było założenie jednego klejnotu stanowiącego pamiątkę – kamei, medalionu np. z włosami z wizerunkiem lub monogramem zmarłej osoby. Noszono także bransoletki utkane z włosów zmarłych, wplecione w czarną taśmę, lub takie pierścionki.

W 1900 r. dopuszczano w żałobie konwencjonalnej noszenie pereł, a w 1905 r. w poradnikach poprawnego zachowania sugerowano nawet zakładanie klasycznej biżuterii żałobnej przy żałobie ciężkiej, co wcześniej było niedopuszczalne.

Panowie potrzebowali oksydowanych na czarno zegarków, jeśli miał być widoczny. Łańcuszek do zegarka wykonywano wtedy z włosów zmarłego lub z gagatu. Szpilka do krawatu powinna być z hebanowego drzewa, łańcuszek zegarkowy z dżetu, tak samo spinki do mankietów.

Dzieci

Malutkie dzieci ubierano podczas żałoby na biało, obszywano im tylko doł sukienki (chłopcy też nosili sukienki do ok. czterech lat) czarnym paskiem. Starsze dziewczynki otrzymywały czarne pończochy i szarfę. Dzieci znacznie starsze nosiły naszytą plerzę, czyli czarne taśmy często połączone z białą na matowych ciemnych strojach.

Dzieci poniżej lat dwunastu nosiły żałobę tylko po matce, ojcu lub dziadkach.

Służba

Także służbę obowiązywała żałoba po jednym z państwa, otrzymywali oni odpowiednie ubranie od chlebobawców. Jeżeli służący opuścił służbę w parę tygodni po żałobie, to ubranie mu się odbierało, jeśli pozostawał, stawało się jego własnością.

Na czas pogrzebu i grubej żałoby do kapeluszy obu płci przypinano krepę, strój był

czarny, podobnie rękawiczki (kamerdynerzy w zwykłym czasie nosili zawsze białe), świecące guziki liberyjne zastępowano materiałowymi. Kamerdynerzy zakładali czarne fraki i białe krawaty, stangret przypinał dodatkowo czarną kokardę do kapelusza.

Detale

W XIX w. przywiązywano wagę do wszelkich detali, także do tych wyrażających żałobę. O papierze z czarną obwódką była już mowa, także o czarnych parasolkach i rękawiczkach. Szyto także czarne chusteczki do nosa z białym monogramem lub obszywano białe chustki czarną obwódką. Pozbywano się wszelkich błyszczących przedmiotów, także wizytówki drukowano na matowym papierze, z czarną obwódką, z czarnymi monogramami lub małymi herbami czarne u góry z lewego brzegu kartonika.

Zaopatrywano się w ciemne lub czarne portmonetki bez ozdób (produkowano specjalną żałobną galanterię, żeby ułatwić stosowanie się do owych zaleceń i świetnie na tym zarabiać). Usuwano nawet z zasięgu wzroku piękne i bogate elementy wyposażenia, jeśli były krzykliwe kolorowe, jak wazon, nie ustawiano koszy z kwiatami w pokojach.

Zasady zachowania podczas żałoby

Żałoba dzieliła się na dwa rodzaje: na cisłą, dotyczącą najbliższej rodziny, oraz konwencjonalną po dalszych krewnych. Najskrupulatniej przestrzegano oczywiście tej po bliższych krewnych.

Przed wszystkim więc zamknięto dom na przyjęcia gości – nie organizowano żadnych przyjęć, odwolywano „herbaty proszone” i dni cotygodniowych przyjęć. Przyjmowano jedynie najbliższych i osoby składające wizyty kondolencyjne. Do zakończenia półżałoby nie składano także wizyt w obcych domach, nie chadzano do teatru, na koncerty, odczyty. Później dozwolone było wyjście do znajomych, na zebrania i składki dobroczynne, przy końcu żałoby dopuszczalne było wyjście do teatru. To były obostrzenia głównie dla kobiet i bywających córek, panien na wydaniu.

Zasady te nie obowiązywały mężczyzn, którym wolno było znacznie więcej – po upływie dwu tygodni od śmierci bliskiej osoby mogli bywać w klubach, na spacerach i w restauracjach, a po kilku miesiącach mogli pojawiać się w teatrze i składać wizyty. Należy tu jednak wspomnieć, że ich kontakty towarzyskie odnosiły się także do prowadzenia interesów, a więc do utrzymania rodziny.

W domu dotkniętym żałobą zamykano na rok wieko fortepianu, rozbrzmiewającego

Lamenty w wyższych sferach były źle widziane. Arystokraci żałobę nosić mieli godnie



Grupa ludzi (kilkanaście osób) uczestniczących w pogrzebie, przypuszczalnie Andrzeja Potockiego (1861-1908). Na pierwszym planie poczwórny zaprzęg koni ciągnących wóz z trumną

przecież prawie codziennie. Dla odzyskania równowagi potrzebna była cisza i spokój, choć niektóre panie potrzebowały muzyki do ukojenia bólu. Po ok. dwu miesiącach mogły jednak do niego zasiadać dzieci uczące się grać.

Kiedy należało jednak wziąć udział w uroczystości rodzinnej podczas żałoby ciężkiej, kobieta zamieniała welon i krepę na ciemny strój, ażeby nie profanować stroju żałobnego, jak uważano ówczesnie, ale także by nie urażać niczych uczuć.

Przechodzenie od dobrowolnego zamknięcia się i odosobnienia do pełnej aktywności towarzyskiej miało następować powoli i stopniowo. Najpierw wizyty w zaprzyjaźnionych domach, później w coraz większych kółkach znajomych. Ponowne pójście do teatru rozpoczynano od sztuk poważnych i zajmowano miejsca nieekspozowane, czyli nie łoża pierwszego piętra (arystokracja zasiadała tylko w łożach, nie schodzono na parter do tzw. krzesel, bowiem oznaczałoby to pospolitowanie się z nieznajomym tłumem). Nie bywano także na premierach, jako że były to przedstawienia oblegane tłumnie.

Skomplikowana towarzysko była kwestia zapraszania osób

w żałobie na śluby i wesela. Przy żałobie w pierwszym okresie, czyli grubej, nie zapraszano na wesela, wysyłano tylko powiadomienia o ślubie. Jeśli taka osoba miała chęć wzięcia udziału w ceremonii i czuła się na sile pojawić w kościele przed oczami wścibskich bliźnich, powinna była stanąć na uboczu i nie narzucać się swym widokiem. Dopuszczalne było zdjęcie na ten dzień żałoby dla uczestniczenia w powszechnej radości młodych małżonków, także okazywanie radości i swobodniejsze zachowanie.

Powtórne zaślubiny

I trudna kwestia powtórnego mariażu. Wdowy w opinii publicznej powinny być pozostać w swoim bezzennym stanie, zwłaszcza jeśli były leciwe, czyli miały ok. czterdziestu lat i nie miały dzieci. Posiadanie dzieci usprawiedliwiała kobietę, która także zwyczajnie mogła się zakochać i chcieć dzielić życie z ukochanym mężczyzną, a nie wiecznie wzdychać do nieżyjącego małżonka (zwłaszcza, jeśli sobie na to nie zasłużył...). Piętnowano jednak zbyt szybkie zawieranie powtórnego związku, ale co ciekawe – tylko u kobiet.

Mężczyznom wybaczano bardzo wiele, także szybkie

szukanie nowej towarzyszk życia. Generalnie nie zawierano ślubu podczas wielkiej żałoby, było to możliwe podczas małej. Wtedy na czas wesela zakładano strój jasny, panna młoda i drużyna mogły mieć kwiaty we włosach, natomiast wracano do stroju żałobnego nazajutrz po weselu, a współmałżonek czynił to samo.

Oczywiście rezygnowano z tańców na weselu, także goście musieli się dostosować do żałoby – nie zakładali zwykłych strojów balowych, czyli panie miały ubiory bez dekol-

tów i krótkich rękawów, aczkolwiek wszyscy prezentowali się elegancko.

Jak widać z przytoczonych przykładów, wiek XIX w wielu swych aspektach był skomplikowany, najeżony złowrogimi przepisami savoir vivre'u i śledzącymi nasze poczynania babek oraz ciotek, czyhającymi tylko na lekkie potknięcie. Inaczej tak smutna okoliczność, jak odejście bliskiej osoby, nie była wolna od nakazów i zakazów zasad „świata”, jak ówczesnie nazywano wykwinne towarzystwo.

Aneta Aleksandra Duda

ANETA ALEKSANDRA DUDA



Doktor nauk humanistycznych, współpracuje z Uniwersytetem Pomorskim w Słupsku oraz jest członkiem Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Pasjonatka kultury materialnej ziemiaństwa i arysto-

kracji w XIX w., propagująca wiedzę o tym okresie na licznych wykładach, pokazach i warsztatach we współpracy z instytucjami muzealnymi i stowarzyszeniami zajmującymi się odtwórstwem historycznym. Współorganizator konferencji naukowych oraz wydarzeń kulturalnych. Na potrzeby pokazów tworzy dioramy - wnętrza salonów XIX-wiecznych, oraz projektuje i szyje stroje z okresu XIX w. Prowadzi Koło Historii Kultury Materialnej XIX w. „Secesja”.

REKLAMA

0011419202

**JUŻ OD 1 PAŹDZIERNIKA
WYMIENIĆ SWÓJ DUŻY NIEDZIAŁAJĄCY
SPRZĘT AGD I RTV
NA DRZEWKO ŚWIĄTECZNE**



BEZ ŻADNYCH KOSZTÓW !!!

**ODBIÓR
ELEKTROODPADÓW TYLKO
Z TERENU MIASTA SŁUPSKA**

 **ZADZWOŃ DO NAS**

 **UMÓW ODBIÓR SPRZĘTU**

 **OTRZYMAJ BON
NA CHOINKĘ**



**Zgłoszenia
przyjmujemy do
9 grudnia 2025**

Biuro Obsługi Klienta PGK:



603 061 556

59 843 40 22

wew. 248, 253, 254

**ODBIÓR CHOINEK
13 GRUDNIA 2025
OD 8.00 DO 11.00**



**PSZOK
ul. BAŁTYCKA 11A
W SŁUPSKU**

UWAGA !

**ZGŁOSZENIE WIĘKSZEJ ILOŚCI ODPADÓW
NIE UPRAWNIA DO OTRZYMANIA
WIĘKSZEJ ILOŚCI BONÓW**



**1 GOSPODARSTWO DOMOWE
=
1 BON NA ODBIÓR
DRZEWKA ŚWIĄTECZNEGO**

SZCZEGÓŁY AKCJI WWW.PGKSLUPSK.PL

KSIAŻKI

Nadprzyrodzone. Śledztwo w sprawie duchów

Will Storr

Wydawnictwo Czarne. Od wydawcy: „Kiedy Will Storr wyrusza do Fildelfii, by na zlecenie magazynu „Loaded” napisać artykuł o łowcy duchów, nie zdaje sobie sprawy, że następne kilka lat spędzi wśród badaczy zjawisk nadprzyrodzonych, duchoholików, demonologów, druidów, szamanów, parapsychologów i świadków opętania, że będzie poszukiwał demonów, widm, poltergeistów i zjaw kryzysowych, odwiedzał cmentarze i nawiedzone domy, a wreszcie – spierał się z watykańskimi egzorcystami, filozofami i psychiatrami”. Wnioski autora zaskakują, ale czytelnik może wyciągnąć własne. Dostaje wielce ciekawy, dobrze napisany materiał do przemyśleń. **(MARA)**

Przepraszam za brzydkie pismo

Antonina Tosiek

Wydawnictwo Czarne. Podtytuł: „Pamiętniki wiejskich kobiet”. Od wydawcy: „Dla wielu bohaterów tej książki spisywanie wspomnień było aktem uznania, że ich historia zasługuje na uwagę. Po raz pierwszy miały okazję przyjrzeć się osobistym doświadczeniom i nadać im znaczenie wykraczające poza sferę prywatną. Opowiadały własnymi słowami o przemocy, biedzie czy wstydzie i w ten sposób sprzeciwiały się dominującym normom społecznym i kulturowym”. Analizowane pamiętniki pochodzą z lat 1933-1995, więc dostajemy też dużo wiedzy o różnych czasach i zmianach np. obyczajowych. Obraz życia wiejskich kobiet niezmiennie smutny. **(MARA)**

Jedyna. Biografia Karoliny Lanckorońskiej

Marcin Wilk

Wydawnictwo Znak. Od wydawcy: „Od dzieciństwa niczym posąg wykuvana przez ojca. Zawsze wiedziała, co należy robić, potrzebowała działać. Żyła w trzech stuleciach, w centrum burzliwego XX wieku. Hartu ducha ani ironicznego humoru nie pozbawił jej nawet pobyt w obozie Ravensbrück. Jej losy to jednak nie tylko opowieść o odwadze i poświęceniu dla innych, ale też wyjątkowa historia uprzywilejowania”. Pięknie wydana książka z dużą liczbą zdjęć i świetnie udokumentowana. Karolina Lancokorońska, patriotka i obywatelka świata, kobieta wielkiego charakteru, zasługuje na więcej miejsca w naszej publicznej pamięci. **(MARA)**

Hiroszima. Najważniejszy reportaż XX wieku

John Hersey

Wydawnictwo Znak Literanova. Od wydawcy: „Jest słoneczny dzień, 6 sierpnia 1945 roku. 15 minut po ósmej rano. Panna Sasaki z działu kadr odwraca głowę do koleżanek. Pani Nakamura, wdowa po krawcu, stoi przy kuchennym oknie. Terufumi Sasaki, chirurg w szpitalu Czerwonego Krzyża, idzie korytarzem, trzymając w ręku próbkę krwi. I wtedy oślepiający błysk uderza w ich miasto. Huk wybuchu nadchodzi po zaskakująco wielu sekundach. Tak zaczyna się era atomowa”. W 1946 r. reportaż Hersey’a o tych, którzy przeżyli, zajął całe wydanie „New Yorkera”. „Nie dane i opinie, ale przeżycia i sceny są siłą „Hiroszimy” - napisał Mariusz Szczegół. Polecam. **(MARA)**

Jaskółki. Powieść o kobietach mody PRL-u

Katarzyna

Wydawnictwo Znak Jednym-Słowem. Od wydawcy: „Jadwiga Grabowska, dyrektorka Mody Polskiej, najważniejsze pokazy w Europie oglądała z pierwszych rzędów. A potem przywieziony z sobą paryski szyk przenosiła na polskie ulice. Gdy do biura Mody Polskiej pewnym krokiem wkracza Helena Bohle-Szacka, pojawia się zgrzyt. To kobieta z pomysłami z całkiem nowej epoki. Nie wie jednak, że w Modzie Polskiej zawsze było miejsce tylko dla jednej królowej. A ona nie odda tego tytułu tak łatwo...”. Czyta się tę książkę jednym tchem! Klimat PRL-u, krwiste bohaterki, układy, koneksje. Polska wersja „Diabeł ubiera się u Prady” wyjątkowo udana. Polecam. **(MARA)**

Cudze oddechy

Paweł J. Sochacki

Wydawnictwo Zwiercia. Od wydawcy: „Rok 1963. Stożąc u progu dorosłości Olimpia zaczyna mierzyć się z powojennymi traumami oraz skrywanymi przez bliskich sekretami. Wychowana w biedzie i atmosferze nieudolności przez schorowaną matkę i skrytą ciotkę, stara się odkryć swoją niejasną tożsamość. Gdy w niewyjaśnionych okolicznościach ginie jej szkolna koleżanka, złudne poczucie bezpieczeństwa w poniemieckim mieście znika na zawsze”. Smutna, bardzo dobrze, z emocjami, napisana książka. O powojennych trudnych czasach, niesprawiedliwości, zawiści, ale i pięknych uczuciach i postawach. **(MARA)**

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

■ NIERUCHOMOŚCI
■ HANDLOWE
■ MOTORYZACJA

■ FINANSY/BIZNES
■ NAUKA
■ PRACA

■ ZDROWIE
■ USŁUGI
■ TURYSTYKA

■ BANK KWATER
■ ZWIERZĘTA
■ ROŚLINY, OGRODY

■ MATRYMONIALNE
■ RÓŻNE
■ KOMUNIKATY

■ ŻYCZENIA
■ /PODZIĘKOWANIA
■ GASTRONOMIA

■ ROLNICZE
■ TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

REKLAMA0011247910

OMEGA WYCENY OBRÓT

SŁUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11
tel. 59 841 44 20
601 654 572
www.nieruchomosci.slupsk.pl
omega@nieruchomosci.slupsk.pl

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby,
ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Finanse biznes

UBEZPIECZENIA

TUW "TUW" wycofuje druki:
AA2321183-2321200,
2321227-2321250, 2321354-2321375,
2321648-2321650, 2322897-2322900,
2323030-2323050,
2323181-2323200, 2323483-2323500,
2323576-2323600,
2676216-2676218, 3109974-3109975,
3150668-3150675,
3150679-3150700, 3213954-3213962

TUW „TUW” wycofuje druki:
AA3213964-3213975,
3214051-3214051,
3214094-3214100, 3214517-3214525,
3214562-3214575,
3214581-3214600, 3215028-3215050,
3215118-3215125, 3215294-3215300,
3344132-3344150,
3344551-3344600

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACOWNIKA na fermę drobiu z zamieszkaniami, emeryt/rencista gm. Sianów, 789-255-662.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.
Codziennie. Koszalin, 605-284-364

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Różne

SKUP KSIĄŻEK, 668-571-329

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski dowóz 600500710

AUTOREKLAMA

Polecamy →

Strona Kuchni

Wszystkie smaki kuchni

stronakuchni.pl

eprasa.pl 6f8a7a78cb

SKOKI PREZES PZN NIE BĘDZIE NAMAWIAŁ STOCHA DO DALSZEGO SKAKANIA

Adam Małysz liczy na olimpijski medal we Włoszech i zamierza współdziałać z AWF Katowice

Jacek Sroka
j.sroka@dz.com.pl

Rozmowa z Adamem Małyszem, prezesem Polskiego Związku Narciarskiego, byłym medalistą igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, a także 4-krotnym triumfator Pucharu Świata.

Wydarzeniem ostatniego weekendu był występ w Letniej Grand Prix Kacpra Tomasiaka. 18-letni debiutant z LKS Klimczoka Bystra spisał się najlepiej z Polaków i jako jedyny zajął w Klingenthal miejsce w pierwszej dziesiątce.

Kacper to zawodnik nieprzeciętny. Popatrzmy nie tylko na wyniki, ale też jego reakcje na skoczni. Dzisiaj psychika ma duży wpływ na zawodnika, a on sobie poradził w debiucie w LGP. Miejmy nadzieję, że równie dobrze jak w Klingenthal będzie spisywał się zimą w Pucharze Świata. Takich perełek jak Tomasiak mamy jednak w polskich skokach kilka. Czekaliśmy na nie długo po sukcesach moich, a później Kamila Stocha, Dawida Kubackiego czy Piotrkę Żyły, ale mam nadzieję, że teraz pokażą się z dobrej strony.

Najważniejszą imprezą sezonu są igrzyska olimpijskie w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo. Z jakimi nadziejami pojedą polscy narciarze do Włoch?

Po tych wszystkich latach z medalami przywożonymi z igrzysk nie wyobrażam sobie, żeby tych krązków w przyszłym roku nie było. Nie chcę nadmuchiwać balonika, ale nasze oczekiwania związane z tą imprezą są bardzo duże. Tak mówię mi nie tylko serce, ale i głowa. Współpracujemy z prof. Michałem Wilkiem z AWF Katowice, który nie tylko prowadzi badania skoczaków, ale też ich trening siłowy, i myślę, że możemy być spokojni, bo pod tym względem poszli mocno do przodu. Atmosfera w kadrze też jest zdecydowanie lepsza. Już to lato pokazało, że do wysokiej formy zaczyna wracać Kamil. Dawid skacze jeszcze w kratkę, Piotrek też, ale myślę, że trzeba dać im trochę czasu. Teraz pojawił się młody Tomasiak. Do rozpoczęcia sezonu zimowego jeszcze mamy kilka



Adam Małysz chce współpracować z AWF Katowice

tygodni i jesteśmy pełni nadziei, że to wszystko zaskoczy. Zmiany sprzętu nie ułatwiły życia Pawłowi Wąskowi, który w poprzednim sezonie był najlepszym z naszych zawodników. On ciągle nie może się odnaleźć w tym wszystkim, ale też ma już przebyte, więc nadzieje na dobry start na igrzyskach trzeba mieć.

Kamil Stoch zapowiedział, że to będzie jego ostatni sezon. Nie będzie go pan namawiał do zmiany decyzji?

Nie, bo to jest przede wszystkim jego decyzja i nikt nie może wywierać na niego żadnych nacisków. Sam do zakończenia kariery przygotowałem się dwa lata. Myślę, że to była przemyślana decyzja Kamila i do niej po prostu dojrzał. Jak ją już ogłosił to wiadało, że psychika się troszkę uwolniła i mówiąc kolokwialnie go „puściło”. Skacze teraz bardziej swobodnie.

Dobrze byłoby, żeby na swoich ostatnich igrzyskach Kamil znów stanął na podium i sięgnął po piąty olimpijski medal w karierze...

Oczywiście, że tak, ale nikt nie będzie wywierał na nim presji. Znając Kamila wiem jednak, że będzie mierzzył na tych swoich ostatnich igrzyskach bardzo wysoko.

Puchar Świata ruszy 21 listopada w Lillehammer, ale pol-

scy kibice już czekają na zawody w Wiśle. Szykujecie jakieś niespodzianki na skoczni im. Adama Małysza?

Miejmy nadzieję, że będzie śnieg i nie trzeba będzie robić zawodów hybrydowych, a kibice obejrzą ciekawe konkursy. Po raz drugi będziemy organizować zawody w Mikołajki i to jest okazja, by stworzyć w Wiśle zupełnie inny Puchar Świata niż w listopadowym prologu. To 2-3 tygodnie więcej na przyjęcie zimy i zgromadzenie śniegu, a i atmosfera tego dnia jest szczególna.

Na początku 2024 roku gościliśmy najlepszych skoczków świata nie tylko w Wiśle i Zakopanem, ale także Szczyrku. Czy powrót do organizacji PolSKI-ego Turnieju jest możliwy?

Na dziś nie ma takiej możliwości, ale cały czas o tym myślimy, bo takie turnieje mają rację bytu. Zawodnicy nie muszą wówczas tyle podróżować, lecz skaczą w miejscowościach położonych blisko siebie. Wcześniej był pomysł, by zorganizować taką imprezę z Czechami, ale teraz ich skoki przeżywają ciężkie chwile i mają duży problem, żeby się z tego dołka podnieść. Na razie cieszymy się, że Wisła i Zakopane są na stałe w kalendarzu Pucharu Świata i zawsze chcemy zorganizować konkursy w Polsce jak najlepiej.

Myśli pan nie tylko o najbliższej zimie, ale też kolejnych i chce zreformować szkolenie trenerów narciarskich. Jak zamierza się pan do tego zabrać?

Dużą krzywdą było uwolnienie tego zawodu. Teraz w zasadzie każdy może być trenerem i nie jest wymagany do tego jakikolwiek papier. Byli zawodnicy chcą szkolić następców, ale nie chodzą na żadne kursy. My dwa lata temu wprowadziliśmy wymóg uczestniczenia w takich szkoleniach jeśli ktoś chciał dostać licencję PZN. Trzeba było zaliczyć odpowiednią liczbę godzin takich zajęć, żeby ta licencja została odnowiona. Spotkało się to na początku z dużą krytyką, bo jak mówiłem nie wszyscy chcą się szkolić, ale też z dużym zainteresowaniem, bo była grupa, która chciała poszerzać swoje umiejętności.

W tej reformie ma wam pomóc Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach, z którą nawiązaliście właśnie współpracę.

Mam nadzieję, że kursy i szkolenia organizowane wspólnie z katowickim AWF-em będą się cieszyć dużą popularnością wśród trenerów i doczekamy się nowych szkoleniowców, bo tego narybku trenerów jest w polskim narciarstwie bardzo mało. Prawdziwych fachowców też jest reszta niewielu. W takich skokach narciarskich trenerów z papierami, którzy są po AWF-ie i mają opanowaną nie tylko praktykę, ale i teorię oraz potrafia pisać plany szkoleniowe, jest może 3-4. Oni są w stanie kształcić swoich następców i musimy to wykorzystać. Wybór katowickiej AWF nie był przypadkowy, bo ta uczelnia prowadzi takie kursy od lat i chyba jako jedyna zajmuje się sportami zimowymi mając przy tym odpowiednio zaplecze naukowe.

Po ilu latach spodziewa się pan owoców tej reformy?

Pewnie trzeba będzie trochę poczekać na efekty, ale mam nadzieję, że za 5-6 lat nie będzie już w Polsce problemów z trenerami. Coraz mniej dzieci chce uprawiać u nas sport, ale mam nadzieję, że gdy ich prowadzeniem zajmą się odpowiednio wyszkoleni fachowcy, to tych dzieciaków zacznie przybywać. ©©

Wyплаты w WTA Finals 2025. Takiej kasy jeszcze w historii tenisa nie było

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Meczem z Amerykanką Madison Keys (sobota, nie przed godz. 16) Iga Świątek zainauguruje udział w prestiżowym turnieju tenisowym WTA Finals 2025, którego gospodarzem jest Rijad.

Nasza tenisistka trafiła do Grupy Sereny Williams. Oprócz Madison Keys w tej fazie turnieju zagra jeszcze z inną Amerykanką Amandą Anisimovą i Rosjanką z paszportem Kazachstanu - Jeleną Rybakiną. Z kolei w Grupie Steffi Graf wystąpią: liderka rankingu światowego, Białorusinka Aryna Sabalenka, Amerykanki Coco Gauff i Jessica Pegula oraz Włoszka Jasmine Paolini.

Do półfinałów awansują po dwie najlepsze zawodniczki z każdej z grup. Turniej w „King Saud University Indoor Arena” zakończy się 8 listopada.

Bilans Igi Świątek:

* z Madison Keys: 5-2.

Szczególnie bolesną porażkę Polka poniosła w styczniu tego roku w półfinale Australian Open.

* z Amandą Anisimovą: 1-1.

Oba mecze panie rozegrały w tym roku i najpierw Polka rozgromiła rywalkę 6:0, 6:0 w finale Wimbledonu, a następnie Amerykanka zrewanżowała się w ćwierćfinale US Open, wygrywając 6:4, 6:3.

* z Jeleną Rybakiną: 6-4.

W tym roku tenisistki spotkały się czterokrotnie i za każdym razem lepsza była Polka.

Już w ubiegłym roku triumfator turnieju kończącego sezon w wykonaniu tenisistek, Coco Gauff, zarobiła w siedem dni oszałamiające 4 805 000 dolarów! To największa premia finansowa w historii kobiecych rozgrywek tenisowych. Nagroda byłaby wyższa o kolejne

350 000 dolarów, gdyby Amerykanka nie przegrała jednego meczu w fazie grupowej (z Czechką Barborą Krejčíkovą, co oznaczało wyeliminowanie... Igi Świątek).

Zatem w ubiegłym roku Coco Gauff mogła za zwycięstwo odebrać czek nawet na 5 155 000 dolarów (335 000 \$ za sam udział w turnieju + 1 050 000 \$ za trzy zwycięstwa grupowe - każde „warte” 350 000 \$ + 1 270 000 \$ za zwycięski półfinał + 2 500 000 \$ za zwycięski finał!).

Ubiegłoroczna pula nagród wynosiła 15 250 000 USD. W tym roku jest większa o 250 000 \$.

4 805 000 dolarów Amerykanki Coco Gauff to najwyższa jednorazowa wypłata w historii kobiecego tenisa.

Wcześniej rekordzistą był Serb Novak Djoković, wygrywając w hali „Pala Alpitour” w Turynie męski Masters w 2022 roku - zainkasował wówczas 4 740 000 dolarów.

Wśród kobiet największa premia - 4 420 000 dolarów - przypadła Australijce Ashleigh Barty po zwycięstwie w WTA Finals w Shenzhen w 2019 roku.

Jaka kasa w tym roku?

Pula nagród wzrosła do 15 500 000 dolarów, z czego singlistki mają do podziału 12 400 000 „zielonych”, a deblistki 3 100 000 dolarów.

Tenisistka, która wygra WTA Finals 2025, będąc niepokonaną w imprezie, może liczyć na rekordową wypłatę 5 235 000 dolarów!!! Oto składowe tej premii:

* 340 000 \$ za sam udział;

* 355 000 \$ za każdą wygraną grupową (w sumie 1 065 000 \$);

* 1 290 000 \$ za wygrany półfinał,

* 2 540 000 \$ za wygrany finał.

W przypadku wygrania zawodów, ale z jedną porażką grupową, najlepsza tenisistka zainkasuje 4 880 000 dolarów...

©©



Iga Świątek wygrała turniej WTA Finals w 2023 roku w Cancún. Na korcie zarobiła dotychczas 42 945 490 \$

Najpiękniejsze chryzantemy
w Słupsku z lokalnych upraw

E.Leclerc 

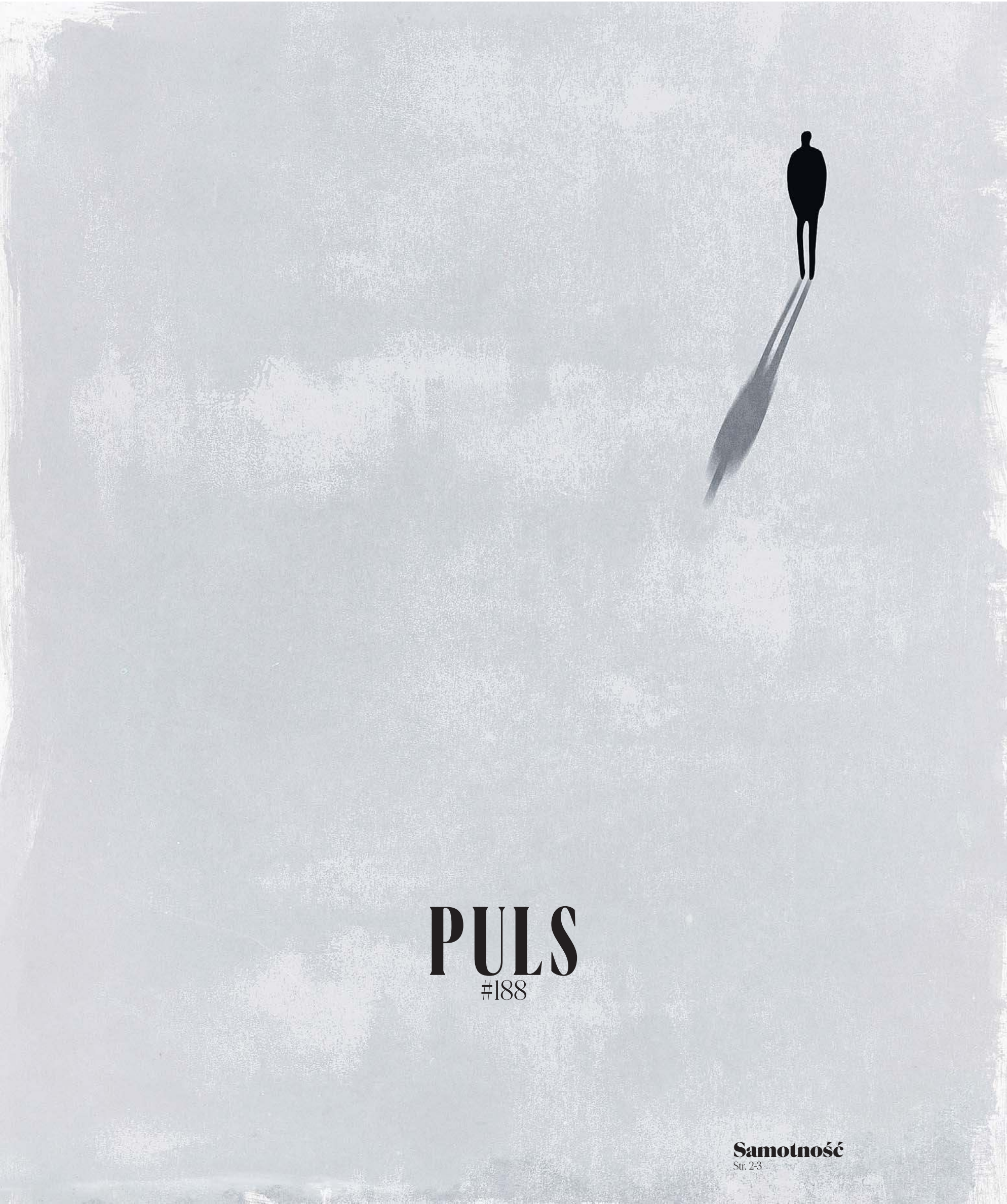


PRODUKT
Z NASZEGO
REGIONU

PRODUKT
POLSKI



Największy wybór zniczy, lampionów i wkładów



PULS

#188

Samotność
Str. 2-3

NAD GROBAMI BLISKICH KAŻDY MA SWOJĄ OPOWIEŚĆ

Śmierć jest faktem. Nie dyskutuje się z faktami.
Trzeba je przyjąć, zaakceptować. Przeżyć żałobę.
Płakać, złościć się, złorzeczyć. Poczuć pustkę,
bezradność. Potem zacząć żyć na nowo, wyjść do ludzi,
bo tylko dzięki nim, choć sami, nie jesteśmy samotni

Dorota Kowalska

Melancholijne to święta. I na swój sposób magiczne. Cmentarze pełne pożółkłych liści, zapach palonych świec, chryzantemy: białe, ciemnofioletowe. Stoimy przy grobach zbici w małe grupki. Razem i osobno. Każdym ze swoją historią w głowie, swoim wspomnieniem o zmarłym. Swoją samotnością.

Opowieść Miry

Mira: „Jest takie czarno-białe zdjęcie. Mam na nim 10 lat, kurtkę w białą-czarną pepitkę, koński ogon i zapłakaną twarz. Stoję, wraz z moją rodziną i znajomymi, nad grobem mojego Dziadziusia. Dziadziusia, nie Dziadka. Dziadków miały inne dzieci, ja miałam Dziadziusia albo Dziadulinę. Dziadkowie byli starzy, brzydko pachnieli, nie można się było z nimi dogadać, bo mówili jakby innym językiem, którego nie rozumiałam. Mój Dziadzius był wysokim, szczupłym mężczyzną, trochę, jak dziś myślę, wojskowym w obyciu, i choć nigdy nie widziałam go w innym stroju niż garnitur, można było odnieść wrażenie, że wciąż chodzi w mundurze. Ale mój Dziadzius był wojskowym, przedwojennym Podhalańczykiem, później walczył w AK. Dla mnie był ukochanym Dziaduliną, towarzyszem wypraw na sanki i do lasu. Opowiadał mi o wojnie, o tym, jak razem z kumplami ukradli pancerną lokomotywę i pojechali na odsiecz zaatakowanego przez Sowietów polskiego miasta Lwów, i dlaczego to się skończyło niemal katastrofą. Rozgrywaliśmy walki na śnieżki, jedliśmy owoce morwy, słodkie od soku. I dużo rozmawialiśmy. Kiedyś, jeszcze jako mały pyrpierc, może sześciolatek, zapytałam Dziadziusia, który wiele opowiadał mi o lojalności, wierności i takim, trudno zrozumia-

łym dla dziecka rzeczom, co się działo, kiedy żołnierz zdradził. Bez chwili wahania odpowiedział: »Kula w łeb«.

Wyobraziłam sobie wówczas, jak kula ziemską, w postaci globusa, spada mi na głowę. I postanowiłam, że nigdy nikogo nie zdradzę. Dziadzius umierał w domu, na raka płuc. Nie miał jeszcze 60 lat. Nic dziwnego: odkąd pamiętam, miał łufkę z zatknietym w niej papierosem w kąciu warg. Razem z Babunią palili papierosy, a łufki, z brunatnego osadu, czyścili za pomocą kurzych piór, czemu przyglądałam się z masochistyczną fascynacją. I też szybko zaczęłam palić. Jednak oprócz tego fatalnego nałogu po Dziadulinie pozostało mi coś więcej, coś znacznie lepszego: bądź wierna, nie zdradzaj. Niczym u Herberta, którego wierzy pewnie nie znał, w »Przesłaniu Pana Cogito«: »Bądź wierny, idź«. No, ale umarł, nie było go, a ja zostałam na wychowanie w kobiecym klanie – matki, babci i tysiąca ciotek, z których to każda miała lepszy pomysł na to, jak mnie wychowywać. Ojca w tym nie było, gdyż, durny gówniarz, pokłócił się z moją »Macierzą« i widywałam go tylko incydentalnie, raz na parę lat. Przez długi czas największy wpływ na moje wychowanie, na moje życie, miała Babunia. Matka Polka, wyrażająca swoją miłość w karmieniu bliskich. Pamiętam, jak biegała za mną z kajzerką posmarowaną świeżym masłem, na który nałożyła soczysty plaster gotowanej szynki i błagała, żebym chociaż ugryzła. Nie, uciekałam, jakby miało zależeć od tego mo-je życie, wiedzioną instynktem młodych organizmów, że nie należy przyjmować zbyt wiele kalorii.

Babunia umarła, kiedy byłam już na studiach. Zanim odeszła, chorowała na alzheimera. Ni-

kogo nie poznawała, z nikim nie rozmawiała, bywała agresywna. Z wyjątkiem mnie. W weekendy, kiedy zazwyczaj przyjeżdżałam do domu, warowała niczym pies stróżujący za firanką, wypatrywała. I zawsze miała dla mnie schowane jakieś słodczyce w szafie, za szmizjerkami i apaszkami. Też lubię karmić ludzi, częstować ich słodczykami, to daje – mnie i im – takie malutkie chwile szczęścia. Będzie truizmem, ale i tak to napiszę – przedstawiamy być dziećmi, kiedy odchodzą nasi rodzice.

Moja mama, Dzidka, urodziła mnie, kiedy miała 18 lat. Nie było jej łatwo – z chorowitym dzieckiem pod pachą skończyła studia, pracowała na dwa, czasem trzy etaty, żeby nas utrzymać. O Ojcu już mówiłam, nie było go w moim życiu. Ale, na szczęście, pojawił się Alek. Dzidka i Alek poznali się, zakochali, a ja dostałam Ojczyrna. Każdemu takiego życzę. I nie chodzi tylko o to, że zrobił mi globus z piłeczki pingpongowej, że nauczył mnie pływać, ale o to, że zawsze był po mojej stronie, miałam kogoś, komu mogłam wszystko powiedzieć. Dzidka była (kochana, dobra) wymagająca, a Alek łał się jak świeży miód. Dzidka umarła pierwsza. Przyszła do kuchni, usiadła, wzięła długopis, książeczkę z krzyżówkami i jej serce odmówiło współpracy. Po roku z hakiem za Dzidką podążył Alek. Umarł spokojnie, w swoim łóżku, miał na sobie śmieszna piżamę św. Mikołaja, jaką dostał pod ostatnią w jego życiu choinkę. Nie pojedę na grób żadnego z nich. Nie dlatego, że jestem leniwa, po prostu – dla mnie – ich tam w grobach nie ma. Są wciąż przy mnie, w moich wspomnieniach, w moich nawykach, zasadach. Po ich śmierci poszłam do lekarza. Na depresantach jestem do dziś. Najbardziej brakuje mi telefonów do Dzidki i Alka. Dzisiaj nie mam do kogo za-

dzwonić. I usłyszeć, zanim skończę: »Tak, tak wszystko już wiem«. Znali mnie lepiej niż ja znam samą siebie. Smutek przeszedł z czasem, została pustka. Chociaż dzisiaj częściej uśmiecham się niż płaczę, bo po żałobie zostają już tylko dobre wspomnienia».

Opowieść profesora

Te pierwsze miesiące, lata są najgorsze. Zapadamy się w siebie albo wręcz przeciwnie – szukamy pocieszenia. Może inni wiedzą, jak wypełnić pustkę?

– Jeśli już zostaliśmy powołani do istnienia, to tak, to nie mamy wyjścia, to śmierć jest potrzebna. Tak tkwilibyśmy w życiu (czy to byłoby w ogóle życie?) niczym mucha w bursztynie. I co poza tym? Właściwie nie byłoby ani nadziei, bo nadzieja jest związana z przyszłością, ani poczucia własnej tożsamości, bo ona się buduje przez jakąś przeszłość, przez doznania, które w sobie gromadzimy, przez zmiany, których doświadczamy w dotychczasowym życiu, przez pamięć o stawianiu się i odchodzeniu wszechrzeczy. Bylibyśmy więc wydani tylko na łup tych samych, niewzruszonych wrażeń bez znaczenia – mówił mi swego czasu świętej pamięci prof. Zbigniew Mikołajko, filozof, etyk.

I tłumaczył, że utrata osoby bliskiej jest utratą radykalną, absolutną, ostateczną.

Profesor nie miał żadnej recepty, żadnego pomysłu na pocieszenie. A tym bardziej pomysłu, który byłby pomysłem uniwersalnym, odpowiednim dla każdego z nas. – Pozostaje zatem to, co jest najbardziej banalne, doszczętnie wyświechtane, bo kryje się w tym jakaś odwieczna mądrość: że czas leczy rany. Czas, czyli samo życie, same konieczności życiowe, sama egzystencja doraźna. Jedyną więc receptą, jeśli już jej

Głos Dziennik Pomorza
Piątek-niedziela, 31.10–2.11.2025

szukać, to staranie nasze, aby osoba, która doznała straty, nie dała się przez jej poczucie całkowicie obezwładnić, zagarnąć, zanurzyć w śmierci aż do zatarcia – dodał prof. Mikołajko.

Śmierć bardzo długo z nas uchodzi. Na początku jest szok, zwłaszcza gdy strata bliskiej osoby jest zaskoczeniem, gdy przychodzi znienacka. Nie do wierzymy, płaczemy, krzyczymy. Czasami zastygamy w bezruchu. – Staję przed śmiercią i jest spuszczone kurtyna. Moją żałobą jest coś w rodzaju zamilknięcia. Nie mam w obliczu śmierci nic do powiedzenia. Inni płaczą, chudną, włosy z głowy wyrrywają, a ja milknę – może te same emocje, tylko inaczej wyrażone. Ale nie mówię wtedy ludziom zbyt wiele – opowiadał mi ojciec Paweł Krupa, dominikanin.

Jesteśmy jeszcze zmobilizowani, musimy zorganizować pogrzeb, mimo że ból rozsada nam głowę, wali serce, brak nam tchu. Nie śpimy, nie jemy, ale działamy. Z czasem ten stan mija i zaczynamy się miotać od rozpacz do poczucia pustki.

Smutno nam tak po ludzku: beznadzieja i strach. Unikamy ludzi, albo wręcz przeciwnie, robimy masę rzeczy, wszystko, żeby tylko nie myśleć. Powoli wracamy do nowej rzeczywistości. Inaczej samotni.

Opowieść Ewy i Martyny

Ewa: „Nie potrafię nawet o tym opowiadać. Byliśmy z Tadeuszem ponad pół wieku. Miałam 19 lat, on 21, kiedy wzięliśmy ślub. Potem pojawiła się Martyna. Wszystkiego dorabialiśmy się sami. Pamiętam naszą radość, kiedy kupiliśmy pierwszy samochód: »malucha«, nową zastawę do domu. Wszystko robiliśmy wspólnie, wszystko nas cieszyło. Tadek jechał na ryby, a ja razem z nim: on łowił, ja siedziałam obok na kocu. Jesienią zbieraliśmy grzyby, latem i zimą ruszaliśmy nad morze. Martyna dość szybko wyprowadziła się z domu. Zostaliśmy sami i to nas chyba jeszcze bardziej do siebie zbliżyło. Wieczorami usypiałam przed telewizorem. Zawsze ze śmiechem wyciągał mi spod głowy poduszkę. »Chodź spać!« – mówił. Pomagał mi we wszystkim. Pracowity, dobry człowiek. Kiedy zachorował, wiedziałam, że nie wróci do zdrowia. Pielęgnowałam go jak potrafiłam: goliłam, myłam, obcinałam paznokcie. Wiedziałam, że odejdzie. Był pogrzeb, byli ludzie. Były sprawy w urzędach. W końcu zostałam sama. Nie byłam na to gotowa. Jego wędki za drzwiami w sypialni. Jego ubrania w szafie. Mieliśmy swoje rytuały, swój rozkład dnia. Teraz nikt nie czekał na śniadanie, nikt nie robił kawy o 16. Nie chciało mi się wstawać z łóżka. Po co? Nie chciało mi się gotować dla sie-

bie samej. Nie chciało mi się chodzić na zakupy. Straciłam męża i najlepszego przyjaciela. Przychodzili znajomi, przyjeżdżała Martyna. Potem każdy wracał do swojego życia. W moim niczego już nie było. Nie potrafiłam być sama. To trwało miesiącami, latami. Któregoś dnia naprawiłam samą pralkę, potem kupiłam nową lodówkę, bo stara się zepsuła. Zobaczyłam, że w szafie wiszą same czarne swetry, spodnice i spodnie. Kupiłam sobie nową bluzkę, ciemnoniebieską i zimową kurtkę. Pojechałam do sanatorium, lekarka dała skierowanie i kazała jechać. Poznałam tam Anię i Ulę. Polubiłyśmy się. Do dzisiaj piszemy do siebie na WhatsAppie. Wróciłam do książek. Bardziej się życiem cieszę, może inaczej – już tyle nie płaczę. Ułożyłam sobie plan dnia. Wstaję około 7, potem idę na zakupy albo na spacer, wiem, że muszę wyjść z domu, ruszać się. Przychodzę, jem śniadanie, czytam. Przygotowuję obiad, około 16 włączam telewizor. Idę spać około 23. Częściej spotykam się z przyjaciółmi, znajomymi. Zaczęłam wyjeżdżać na wakacje. Niby jest dobrze, staram się».

Martyna: „Choroba taty to była walka. Przegrana już na stracie. Wiedziłam, że nie mamy szans. Tata też wiedział. Mama wychodziła z pokoju, a on mówił: »Wiesz, córuś, tak bardzo chciałbym już odejść«. Nic nie odpowiadałam. Co tu mówić? Że wszystko będzie dobrze? Nie będzie. On to wiedział i ja. Coraz bardziej cierpiał, coraz bardziej nie był sobą. Bardzo chciałam, żeby odszedł. I bardzo się tego swojego chcenia wstydziłam. Bo jaka córka modli się o śmierć ukochanego ojca? Kiedy umierał, trzymałam go za rękę. Z oczu poleciała mu łza. Zastanawiałam się potem, dlaczego płaczę. Był na morfinie, nic go już nie bolało. A płakał. Na pogrzeb przyszły tłumy. Tata był cudownym, ciepłym człowiekiem. Nie było w nim zazdrości, zawiści. Nie oceniał innych. Staliśmy wszyscy nad grobem, a ja patrzyłam na mamę. Wiedziłam, że teraz wszystko się zmieni. I zmieniło się. Rozpaczała. Nie myślałam o sobie, tylko o niej. Nie wiedziałam, co powiedzieć, co robić. Przygotować śniadanie? A może nie powinienśmy jeść? Wynieść rzeczy taty już teraz, czy za rok albo dwa? Widziałam samotną, bezbronną kobietę, zasklepioną w swoim cierpieniu. Nie pozwałała sobie pomóc. Nie jadła, nie spała, codziennie chodziła na cmentarz. Mogłam być obok. Tyle. Minął rok, potem drugi. Wciąż nie kupowała nowych rzeczy, bo po co, nie warto. Nie wychodziła do znajomych, przestała czytać. Nie mogłam znieść tego jej



FOT. 123RF

odrętwienia. Byłam miła, do rany przyłóż. »Najchętniej położyłabym się koło taty« – powtarzała w kółko. Potakiwałam, chociaż ciężko było mi tego słuchać. Bo to znaczyło, że ja, moja rodzina nie mamy znaczenia. Nie warto dla nas żyć. »Tylko weź ze sobą koc, ciągnie od ziemi« – wypaliłam pewnego dnia. Tak, bywałam szorstka: „Miliony kobiet straciły mężów. Mamo, choć pójdziemy do psychologa, przecież musisz dalej żyć» – powtarzałam. Kiwała tylko głową. Wracałam do domu i płakałam. Ja też kogoś straciłam, tatę. Czy ktoś mnie pyta, co czuję? Byłam zła. Ale zaraz karmiłam się w myślach i znów martwiłam o nią. Nie wiedziałam, jak jej pomóc. Pomógł czas. Zadzwoiła któregoś dnia i pochwaliła się, że kupiła sobie nową kurtkę. Pomyślałam, że to dobry znak. Od śmierci taty minęły cztery lata. Pojechała do sanatorium, znowu zaczęła chodzić do biblioteki, spotykać się z przyjaciółmi. Częściej się uśmiecha. Jest silną, dzielną kobietą. Radzi sobie. A ja mogłam wreszcie częściej myśleć o tacie. Brakuje mi naszych wspólnych wypadów w góry, spacerów, rozmów. Byliśmy bardzo blisko. Zawsze wychodził po mnie na dworzec, kiedy przyjeżdżałam do domu. Już nie wypatruję go na peronie. Dzwonił i dopytywał czter-

dziestoletniej kobiety: »Córuś, chodzisz w czapce? Straszny ziąb!«. Nie czekam na te telefony. Tylko dzisiaj już nie płaczę, kiedy o tym myślę, uśmiecham się do siebie. Uśmiecham się do wszystkich tatowych wspomnień. Najbardziej lubię chodzić na cmentarz sama. Przykucam wtedy na ławeczce przy jego grobie »No to, kochaniutki, siadaj teraz wygodnie w tym swoim fotelu na górze i słuchaj« – tak zaczynam i opowiadam mu o tym, co u mamy, u mnie, co u jego wnuczki. Chociaż pewnie wszystko to wie. I zawsze widzę jego roześmianą twarz”.

Opowieść naukowców

Ci, którzy stracili bliskich, mówią o pustce. O wędkach schowanych za drzwiami w sypialni, o samotności. To ponoć jedna z chorób cywilizacyjnych XXI wieku, kolejne „zagrożenie dla globalnego zdrowia publicznego.”

Dr Vivek Murthy, współprzewodniczący powołanej w 2023 roku komisji do walki z tym zjawiskiem, podkreśla: „Zbyt długo problem samotności pozostawał w cieniu, niedostrzegany i niedoceniany”.

Z badania przeprowadzonego przez Instytut Gallupa i firmę Meta w 142 krajach świata wynika, że niemal jeden na czterech dorosłych, czyli około miliarda ludzi na świecie, czuje się bardzo lub dość samotny. To

uczucie dopada nie tylko osoby starsze, ale także te stosunkowo młode.

Badania nad samotnością nie są zresztą czymś nowym. Grupa naukowców z uniwersytetów Harvarda, Stanforda, Curtin oraz uniwersytetu Zachodniej Australii już jakiś czas temu postanowiła zastanowić się nad tym, co może potęgować poczucie samotności. Sprawdzali, czy istnieje związek między tym, jak radzimy sobie z emocjami, a subiektywnym poczuciem osamotnienia. Zbadano grupę 501 dorosłych ludzi. Zapytano ich, czy czują się samotni, jak często, jak bardzo. Potem jak radzą sobie ze smutkiem, gniewem, złością. Okazało się, że umiejętność radzenia sobie z negatywnymi emocjami jest kluczem. Poczucie samotności zwiększa nadmierne rozmyślanie, obwinianie siebie lub innych, wyobrażanie sobie katastroficznych scenariuszy, tłumienie negatywnych uczuć, unikanie innych ludzi, wycofywanie się z życia towarzyskiego, odrzucanie wsparcia emocjonalnego. Kiedy tracimy kogoś bliskiego, bardzo często tacy właśnie jesteśmy – zamykamy się w swoich skorupkach.

– Badania nad samotnością jednoznacznie wskazują, że samotność wpływa na nasze zdrowie. Depresja, stany lękowe to skutki dla wszystkich

oczywiste, ale samotność obniża także nasze zdolności do radzenia sobie z chorobami, obniża naszą odporność – wylicza psycholog Maria Rotkiel. I dodaje, że poczucie wspólnotowości jest jednym z najważniejszych czynników, które sprawiają, że czujemy się szczęśliwi. Poczucie, że żyjemy wśród ludzi, którzy są nam życzliwi. Nie chodzi nawet o posiadanie rodziny, bardziej o bycie w jakiejś wspólnotcie. Wspólnocie, która sprawia, że możemy usiąść z kimś na ławce, porozmawiać, spotkać się na herbatkę z sąsiadką, z inną pójść na spacer. W grupie, wśród innych – mamy poczucie sensu, widzimy w życiu jakiś cel.

Opowieści internautów

Mka16: „Na pewno nie ma jednego schematu żałoby. Każdy przeżywa to inaczej w zależności od własnego usposobienia.

Moja mama zmarła niewiele ponad rok temu. Tuż po jej śmierci było uczucie ulgi, że już nie cierpi, ale trwało to bardzo krótko. Później żal – wiem, że bezpodstawny i głupi – do Niej, że o siebie nie dbała i mnie zostawiła, do siebie samej, że nie zrobiłam wszystkiego, co mogłam. Później był okres, kiedy próbowałam rzucić się w wir pracy. Dopiero po jakimś czasie przyszła potrzeba rozmowy, wspomnia-

nia. 5 miesięcy temu urodziłam swoje pierwsze dziecko, którego moja mama nigdy nie zobaczy. Powrócił ogromny żal, że jej tu nie ma, i znowu chęć niemyślenia o tym, bo za bardzo boli. Żle mi z tym, że staram się o niej nie myśleć, ale dzięki temu mogę jakoś funkcjonować”.

Blanka: „Ostatnie zdanie Twojego postu odzwierciedla dokładnie stan mojej duszy. Działa u nas instynkt samozachowawczy – wiemy, że musimy jakoś normalnie żyć i znajdujemy na to sposób: staramy się nie myśleć, nie rozpamiętywać. W miarę upływu czasu inaczej patrzę na odejście Taty – wiem, że ja mam żyć, i chcę żyć tak, jakby chcieli moi zmarli bliscy”.

Zen: „Odczuwam strach przed przyszłością, nie wiem, jak sobie dam radę. Ona była cudowną żoną, mamą i panią domu. Nie wiem, jak sobie poradzę z tą pustką. Z drugiej strony odczuwam wstręt do życia i poczucie jego beznadziejności. Spędziliśmy razem w ten czy inny sposób prawie połowę mojego życia (jej połowę). Ponad 10 lat. To była moja pierwsza dziewczyna. Zakochanie od pierwszego wejrzenia. Przyjaźń od początku wobec braku możliwości miłości (ona była za młoda na związek). Czekalem 3 lata, 2 lata walczyłem o nią, potem spędziłem z nią 5 najlepszych lat mojego życia.

Dla siebie zerwaliśmy kontakt ze światem, całkowicie poświęciliśmy się sobie, nie było nic i nikogo, tylko my i synek. A teraz jestem nagle sam. Byłem pewny, że tak miało wyglądać moje życie, że znalazłem osobę, która była mi przeznaczona. A teraz jej nie ma, nie ma mojego przeznaczenia”.

Hastry: „Ja straciłam męża. Było bardzo ciężko, jest trochę lepiej, po prostu potrzeba czasu. Na początku była tylko ciemność i świadomość, że na zawsze tak już zostanie. Trzeba być cierpliwym”.

Pigus: „U mnie minęło pół roku. Ciągłe huśtawki nastrojów, obsesyjne opowiadanie o tej osobie, rozmyślanie, czy można było coś zrobić. Zmarł młodo i zostałam z małutkimi dziećmi. Myślę, że radzę sobie. Bardzo pomagają mi rozmowy, nie powstrzymuję łez. Na szczęście mam czasem pomoc, więc mogę wyjść, odreagować: pobiegać, wsiąść w samochód i pokrzyknąć. Ale wiem, że jeszcze wiele przede mną. Boli, nie tak miało być. Ale przecież na moje umieranie jeszcze przyjdzie czas. Teraz chcę żyć”.

Śmierć jest faktem. Nie dyskutuje się z faktami. Trzeba przeżyć żałobę. Płakać, złościć się, złorzeczyć. A potem trzeba zacząć żyć na nowo: wyjść do ludzi, bo tylko dzięki nim, choć sami, nie jesteśmy samotni.

– Nie paraliżuje mnie już myśl o odejściu. Śmierć to druga strona życia
– mówi dziennikarka i pisarka Anna Matusiak, autorka książki
„Ze śmiercią im (nie) do twarzy”, w której znalazły się rozmowy z tymi,
którzy ze śmiercią stykają się codziennie

Anita Czapryn

ANNA MATUSIAK: ZAMIATAMY ŚMIERĆ POD DYWAN, DLATEGO NIE POTRAFIMY SPOKOJNIE ŻYĆ

Co pani czuje, kiedy słyszy słowo „śmierć”?

Jak każdy człowiek, w pierwszym odruchu czuję jakieś napięcie, obawę, lęk. Ale z drugiej strony, po rozmowach, które przeprowadziłam, i po moim doświadczeniu zawodowym, bo skończyłam suicydologię, czyli naukę, która mocno przygląda się śmierci, z tej perspektywy samobójczej, to patrzę na śmierć, a przynajmniej się staram, jak na drugą stronę medalu pod tytułem „życie”. Naprawdę, po zrobieniu wielu podcastów na temat śmierci i dzięki psychologicznemu wykształceniu, mam poczucie, że mówiąc o śmierci, rozmawiamy o życiu. Dlatego tak często podkreślam, że moja książka nie jest ciemna, mroczna ani smutna. Ma na celu sprawić, byśmy jeszcze bardziej, jakkolwiek banalnie to zabrzmiał, potrafili cieszyć się życiem i je dostrzegać. Ale oczywiście w pierwszym odruchu, jak każdy człowiek, wciąż nie pozbyłam się lęku i tego lekkiego odrętwienia, kiedy słyszę słowo „śmierć”. A już tym bardziej, gdy pomyślę o moich bliskich. Moja własna śmierć być może została już trochę oswojona, choć tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzono. Natomiast lęk o bliskich, o rozstanie z tymi, których się kocha, zawsze wywołuje emocje.

Sam tytuł pani książki „Ze śmiercią im (nie) do twarzy” prowokuje i zmusza do refleksji. Dlaczego taki tytuł?

Po prostu od razu przyszedł mi do głowy. To oczywiście parafraza tytułu filmu, choć moja książka do niego nie nawiązuje. Sam zwrot wydał mi się natomiast adekwatny, zwłaszcza że książka opowiada o perspektywach zawodowych. To „nie do twarzy” albo „do twarzy” gdzieś się ze sobą przenika i miesza. Możemy się zastanawiać, co to właściwie znaczy, czy nam do twarzy ze śmiercią, czy nie? Skoro jest to jedyna rzecz, która spotka każdego z nas, bez względu na wykształcenie, status społeczny, przygotowanie. Nie do końca zgadzam się z powiedzeniem, że śmierć jest jedyną sprawiedliwością, bo przecież czeka każdego. Jak pokazuje doświadczenie, bywa też bardzo niesprawiedliwa. Zabiera dzieci. W podcaście o tym samym tytule, „Ze śmiercią (nie) do twarzy”, rozmawiam z moimi gośćmi książkowymi, ale też z ludźmi po stratach, czego już w książce celowo nie ujęłam. Chciałam, żeby publikacja pokazywała wyłącznie perspektywę zawodową. Rozmowy z osobami po stracie pokazują jednak, jak bardzo śmierć potrafi być niesprawiedliwa, jak bardzo potrafi być nie do twarzy. O to mi właśnie chodziło: o przenikanie się pewnych zwrotów, perspektyw myślenia o śmierci i o życiu.

Dlaczego w ogóle zajęła się pani tematem śmierci?

Wie pani, że to jest pytanie, na które sama nie umiem znaleźć odpowiedzi? I szukam jej

w sobie od dawna. Fascynuje mnie śmierć, ale nie w perspektywie kryminalnej. Nigdy nie zaczytywałam się w brutalnych morderstwach, nie chciałam zgłębiać śmierci z takiego punktu widzenia. Ona fascynuje mnie z perspektywy psychologicznej, filozoficznej, teologicznej. Choć jestem naprawdę bardzo optymistycznym człowiekiem, Kocham życie i staram się czerpać z niego pełnymi garściami, to faktycznie śmierć, a w ogóle tematy trudne, bolesne, oscylujące wokół cierpienia, zawsze mnie pociągały z perspektywy dziennikarskiej, a pracuję w zawodzie od 25 lat. Teraz powoli wchodzi też w zawód pomocowy, czyli zawód psychologa. To stworzyło mi nową perspektywę. A może właśnie dlatego w nią wchodzę, żeby móc tę perspektywę otworzyć z innej strony. Jest w tym coś fascynującego, w tej kurtynie, za którą nie wolno nam spoglądać. W tej magii. Interesuje mnie to nie tylko z punktu widzenia nauki, ale też zjawisk niewyjaśnionych. Po prostu śmierć mnie fascynuje, jakkolwiek to nie zabrzmiał. Zawsze powtarzam, że kiedy grzebię w niej jako dziennikarka, to trochę pod przykrywką mikrofonu, kamery, dyktafonu. I wtedy czuję się bezpieczniej, mam takie złudne poczucie, że nie staram się uchylać tej kurtyny, której nie wolno nam uchylać; ja tylko rozmawiam. Że nie zgłębiam się w tematy, w które może nie powinniśmy. A może właśnie powin-

niśmy? Może właśnie dlatego, że się nie zagłębiamy, potęguje się w nas strach? Śmierć wciąż jest tematem tabu. Choć dziś rozmawiamy już o wszystkim, o śmierci wciąż bardzo trudno nam mówić. Może właśnie dlatego powinniśmy o śmierci rozmawiać, żeby żyć pełniej. A to dla mnie cel nadrzędny.

Wszyscy Pani rozmówcy mają wspólną cechę: zawodowo stykają się ze śmiercią. Jak ich Pani dobierała? Jest i właściciel zakładu pogrzebowego, ksiądz, psycholożka, archeolog sądowy, a nawet medium.

Pewne zawody po prostu musiały się tu znaleźć. Nie wyobrażam sobie książki o śmierci z perspektywy zawodów bez grabarza, psychologa hospicyjnego czy księdza. Ale niektóre postaci pojawiały się w trakcie pracy, bo ktoś kogoś polecił, ktoś inny wspominał, że zna ciekawą historię. Wiele z tych spotkań zrodziło się przypadkiem, choć ja w przypadki raczej nie wierzę. Część rozmów miałam w głowie od początku. Bardzo chciałam dotrzeć do lekarza, który wykonuje eutanazję. Z drugiej strony, zależało mi też na rozmowach z osobami z kręgu duchowości i ezoteryki, dla kontrastu wobec perspektywy naukowej. Chciałam zobaczyć, czy w tych dwóch światach, czyli naukowym i duchowym, znajdę wspólny mianownik. Czy będą to zupełnie różne refleksje, czy może jednak mówimy

o tym samym, tylko innym językiem. Poza tym zależało mi, żeby książka mogła trafić do każdego. Jesteśmy różni. Jednego bardziej poruszy ksiądz albo psycholog hospicyjny, który towarzyszy ludziom w ostatnich chwilach, a do innego przemówi medium czy tarocista. Niektórzy moi rozmówcy pojawili się z czystej ludzkiej ciekawości. Do tarocisty poszłam przede wszystkim zapytać, czy ludzie pytają o własną śmierć. Czy jesteśmy tego ciekawi, czy wolimy nie wiedzieć. I bardzo mnie zaskoczyło, gdy usłyszałam, że tak, że o śmierć pytają często. Ja sama nigdy w życiu bym o to nie zapytała. Dlatego ten dobór postaci jest tak różnorodny. Zależało mi, by każdy czytelnik mógł znaleźć w książce swoją drogę, swój język rozmowy o śmierci.

Co jeszcze łączy ludzi, którzy zawodowo dotykają śmierci? Zauważyła pani w nich jakieś wspólne cechy, jak na przykład spokój czy dystans?

Przed wszystkim łączy ich miłość do życia. To było dla mnie najbardziej zaskakujące, a zarazem najbardziej budujące odkrycie. Ten ogromny szacunek do życia, ale też do ludzi, którzy odchodzą. Nie dostrzegłam w nich rutyny, która przecież byłaby naturalna, a może nawet usprawiedliwiona. Bo kiedy ktoś codziennie styka się ze śmiercią, to włącza się mechanizm obronny, właśnie rutyna, która pozwala w tym zawodzie przetrwać. Gdy myślę

o właścicielu zakładu pogrzebowego, który sam wykonuje makijaż pośmiertny, wyobrażam sobie, że w którymś momencie musiałby chronić swoją psychikę. Oczywiście każdy z moich bohaterów ma pewne predyspozycje, bez których nie da się wykonywać takiej pracy. A jednak w każdym z nich widziałam ogromny szacunek i jednostkowe podejście do drugiego człowieka, do każdego kolejnego klienta czy pacjenta, w zależności od zawodu. Urzekło mnie to: spokój, godność i walka o zachowanie tej godności w obliczu czegoś tak delikatnego, niematerialnego, niepojętego. I dało mi poczucie światła w tunelu; że istota człowieczeństwa wciąż w nas istnieje.

Które ze spotkań było dla pani szczególnie ważne albo trudne? Co najbardziej panią poruszyło?

Odpowiem zupełnie prywatnie. Bardzo trudne i ważne było dla mnie spotkanie z księdzem z Centrum Zdrowia Dziecka. Nie ze względu na jego zawód, tylko ze względu na tego konkretnego człowieka i to miejsce. Siedem lat temu, kiedy urodził się mój synek, leżałam w Centrum Zdrowia Dziecka, walcząc o jego życie. Ksiądz Jacek, który jest bohaterem mojej książki, ochrzcił mojego synka na OIOM-ie. Wyobraża sobie pani, jakie to były emocje? Jaki to był chrzest, gdy nie wiadomo było, czy to chrzest, czy pożegnanie? Powrót do tego miejsca po siedmiu latach, w innej roli, był dla mnie szczególny. Szczególnie było też spotkanie z tym samym człowiekiem, który wtedy był dla mnie głosem nadziei. Bo w sytuacji granicznej, bez względu na to, czy ktoś jest wierzący, czy nie, człowiek chwytą się każdej nadziei. A ksiądz, który czyni znak krzyża i mówi: „Proszę się nie martwić, będzie dobrze, on z tego wyjdzie”, staje się jakimś głosem Boga. Głosem, który tak bardzo chce się usłyszeć i zinterpretować jako coś więcej niż zwykłe pocieszenie. Po tylu latach wróciłam tam już jako studentka psychologii, na praktyki. To też było doświadczenie niezwykle dla mnie ważne: powrót do tamtego miejsca z nową świadomością, w nowej roli. Jeśli chodzi o samych bohaterów książki, to ogromne wrażenie zrobiła na mnie rozmowa z psycholożką hospicyjną. W jej oczach było tyle światła i radości, gdy mówiła o tak trudnych sprawach. Miała w sobie coś niewiarygodnie pogodnego, ciepłego, pełnego miłości do życia. Powiedziała mi wtedy coś, co często cytuję: „Trafiłam tam przypadkiem; nie było akurat pracy w mojej specjalizacji,



FOT. SZYMON STARNAWSKI

Anna Matusiak: Śmierć to może okres przejściowy, po którym czeka nas coś piękniejszego. Co nie znaczy, że mamy na nią czekać; tylko że możemy się mniej jej bać

więc poszłam tam tylko na chwilę. Zostałam na kilka-nastę lat. Żadne inne miejsce nie nauczyło mnie takiej miłości do życia, jak właśnie to hospicjum. To burzy stereotyp myślenia o hospicjum jako „umieralni”. Bo to jest właśnie miejsce, w którym może się narodzić ogromna miłość do życia. Zapamiętałam też rozmowę z policyjnym negocjatorem, człowiekiem, który rozmawia z ludźmi stojącymi dosłownie na granicy życia i śmierci. Czasem jeden krok dzieli ich od przejścia na drugą stronę. On robi wszystko, żeby ten krok wykonali w przeciwną stronę. Powiedział mi: „Wiesz, Ania, uratowałam setki żyć, ale nie uratowałam własnego brata. Nie zauważyłam. A on to zrobił”. To było dla mnie ogromnie poruszające. Pokazuje, jak bardzo to wszystko jest płynne, delikatne, nienormowalne. Nie mamy papierów na ratowanie życia. Można zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby odwrócić drugiego człowieka ku

życiu, a i tak nie zawsze się uda. Właśnie dlatego skończyłam suicydologię, żeby próbować odwracać ludzi ku życiu, choć mam świadomość, że niektórych po prostu nie da się uratować. Każdy z moich rozmówców zostawił we mnie choć jedno zdanie, które zabieram ze sobą. I wiem, że zostanie ze mną na zawsze.

Ksiądz w pani książce mówi, że dzieci umierają spokojnie. Jak rozumieć ten spokój?

Rozumiem go tak, że dziecko jest może bliżej tej tajemnicy, której my nie znamy. Bliżej źródła, bliżej Ojca, jakkolwiek to sobie nazwiemy. Ktoś powie: bliżej Boga. Ktoś inny: światła, a jeszcze ktoś: prądnicy. To także moje doświadczenie po obserwacji wszystkiego, co widziałam w Centrum Zdrowia Dziecka. Dziecko na oddziale onkologicznym niesie obraz, który nas, dorosłych, bardzo boli. Ale dzieci tam zazwyczaj są radosne, szczęśliwe, bo tak wygląda ich świat. W ich świe-

cie jeszcze nie ma perspektywy planów, marzeń, ambicji, które utrudniają pogodzenie się z przemijaniem. Cierpią rodzice. Cierpienie fizyczne dzieci oczywiście boli, bo to po prostu ból. Ale w wymiarze duchowym najbardziej boli cierpienie dorosłych, którzy walczą o swoje dzieci. Dziecko przyjmuje rzeczywistość inaczej, bo jest na innym etapie życia. Po prostu tak wygląda jego świat: dziś jest szpital, jutro może być dom. Tak rozumie słowa księdza Jacka i tak je noszę w sobie.

Czego dowiedziała się pani o śmierci od ludzi, z którymi rozmawiała?

Chyba zostawiłam sobie nadzieję, którą wyczytuję z wypowiedzi moich bohaterów, a może raczej chcę ją sobie wyczytywać. Myślę, że każdy czytelnik znajdzie w tej książce coś innego, ale ja zostawiam sobie tę właśnie nadzieję: że to nie koniec. Że po drugiej stronie coś jest. Że idziemy ku czemuś więk-

szemu. Że śmierć to może okres przejściowy, po którym czeka nas coś piękniejszego. Co nie znaczy, że mamy na nią czekać; tylko że możemy się mniej jej bać. Można cieszyć się perspektywą, że kiedyś odejdziemy, ale do tego czasu powinniśmy żyć jak najlepiej, tu i teraz, jak najpiękniej. Może właśnie o to chodzi, by zasłużyć w życiu na to, żeby za tą kotarą było jeszcze piękniej i lepiej. Więc jeśli miałabym odpowiedzieć krótko: po rozmowach z moimi bohaterami zostawiłam sobie nadzieję, że jest coś więcej i że to coś będzie naprawdę dobre.

Czy śmierć może być dobra? Pytam też w kontekście tego, jak ludzie chcą umierać. Czy ci, którzy przychodzili do tarotysty i pytali o swoją śmierć, mówili, jak chcą odejść? Czym jest dla pani dobra śmierć?

Przywołam tu spotkanie z Anją Franczak, założycielką Instytutu Dobrej Śmierci. Sama nazwa tej instytucji

wskazuje, że śmierć może być dobra. Wiele oczywiście zależy od kontekstu, od sytuacji, od samego odchodzącego, ale też od tych, którzy pozwalają odejść. Nie da się stworzyć jednej definicji, ale wiem, że ogromnie wiele zależy od atmosfery, w jakiej człowiek odchodzi. To pewnie cholernie trudne pozwolić odejść komuś, kogo się kocha. A jednak można zrobić bardzo dużo, by to odchodzenie było dobre, piękne, spokojne dla wszystkich: i dla tych, którzy żegnają, i dla tych, którzy odchodzą. Oczywiście wtedy, kiedy mamy czas, kiedy śmierć przychodzi po chorobie, a nie nagle. Wtedy możemy pozwolić sobie na to wspólne żegnanie, na konstruowanie ostatnich chwil razem. Tak, wierzę, że śmierć może być dobra. I bardzo bym chciała, żeby kiedyś, oby jak najpóźniej, gdy przyjdzie po mnie lub moich bliskich, potrafiła nas spotkać w spokoju. Żebyśmy znalazła w sobie siłę, by przypomnieć sobie te rozmowy, te twarze, i umiała odejść albo żegnać w dobrostanie, w poczuciu dobra, a nawet, jakkolwiek to zabrzmiałoby, z radością, że odchodzi do lepszego świata.

Pisze pani w książce, że śmierć została wypchnięta z naszej codzienności. Nie mówi się o niej, nie istnieje w mediach, nie ma jej w social mediach. Co tracimy, omijając ten temat?

Tracimy z całą pewnością spokój. Bo wszystko, co jest zamiatane pod dywan, co zostaje wyparte i zamrożone, w nas zostaje. Wraca potem w postaci lęku, napięcia, niepokoju. Jestem przekonana, że niszczy nas to, że nie oswojamy się ze śmiercią w dobry sposób, tylko w jej najbardziej drastycznej formie. Bo jedyne, co dziś kojarzy się ze śmiercią w mediach, to brutalne obrazy: wypadki, morderstwa, katastrofy. Ten przekaz przepełniony jest lękiem. A lęk rodzi jeszcze większy lęk. Naszym naturalnym odruchem staje się wtedy ucieczka od tematu. Zamrażamy się, wycofujemy, udajemy, że śmierci nie ma. Że nie istnieje. A to paradoksalnie tylko pogłębia niepokój. Im bardziej od niej uciekamy, tym bardziej nas dogania.

Ludzie, którzy pomagają umierającym, często mówią, że ta praca pomaga również im samym. W jaki sposób?

Myślę, że rzeczywiście tak jest. To doświadczenie pozwala im uzyskać pewien spokój. Oni mniej boją się własnej śmierci. Oczywiście, kiedy przychodzi moment spotkania z nią twarzą w twarz, nikt z nas nie wie, jak się zachowa. Być może w takiej chwili zapo-

minamy o całym doświadczeniu zawodowym i dopiero wtedy życie pokazuje, jakie emocje naprawdę się w nas odezwą. Ale można żyć w lęku albo w spokoju. Myślę, że ci ludzie, którzy pomagają innym przejść na drugą stronę, żyją w dużo większym spokoju właśnie dlatego, że tego dotykają. Że są przy tym, co najtrudniejsze, a przez to także najbardziej prawdziwe.

A pani? Mniej boi się pani śmierci po napisaniu tej książki?

Nie chciałabym rzucać słów na wiatr i powiedzieć, że boję się zdecydowanie mniej, choć chyba trochę tak. Myślę, że faktycznie czuję odrobinę mniej lęku. To oczywiście nie dotyczy moich bliskich. Sama myśl o ich odejściu napawa mnie przerażeniem i natychmiast wywołuje łzy. Ale jeśli pomyślę o własnej śmierci, to jest już we mnie więcej spokoju. Nie paraliżuje mnie ta myśl. Mam jeszcze wiele planów, wiele rzeczy, które chciałabym zrobić, a przede wszystkim mam małe dziecko. To są jedyne obawy, które przychodzą mi do głowy. Samo odejście przestało mnie jednak przerażać. Łatwiej jest mi o nim myśleć z całą pewnością dzięki sile, energii i światłu, które dały mi te rozmowy. Bo taki właśnie był cel tej książki: światło, a nie mrok.

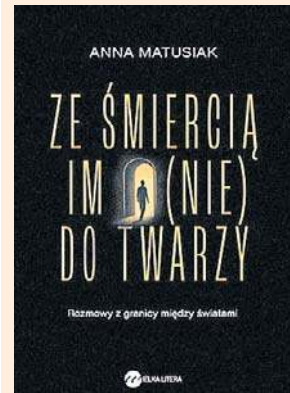
CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Anna Matusiak

Dziennikarka, reportażystka i pisarka, doktor nauk o polityce, wykładowca akademicki. Autorka wielu książek, w tym „Ze śmiercią im (nie) do twarzy. Rozmowy z granicy między światami”, która ukazała się niedawno nakładem wydawnictwa Wielka Litera.



BORYS SZYC: MIAŁEM TAKIE POCZUCIE, JAKBY MNIE NAPRAWDĘ URATOWALI Z TONĄCEGO STATKU

5 listopada swoją premierę będzie miał w serwisie Netflix nowy polski serial – „Heweliusz”. Jest to fabularyzowana opowieść o najtragiczniejszej katastrofie w historii Polskiej Żeglugi Morskiej. Główną rolę w serialu gra Borys Szyc. Popularny aktor odsłania przed nami kulisy tej wyjątkowej produkcji

Patryk Gzyl

W 1993 roku, kiedy doszło do katastrofy promu Heweliusz, miał pan 15 lat. Dotarły do pana wtedy echa tej tragedii?

Dokładnie pamiętam filmową zjawkę w „Wiadomościach” czy w „Teleexpressie” z kadrem statku odwróconego dnem do góry i pogrążającego się w wodzie. Zrobiło to na mnie gigantyczne wrażenie. Moja wyobraźnia wystrzeliła wtedy w kosmos.

Te wspomnienia wróciły, kiedy trafiła do pana propozycja zagrania roli kapitana promu Heweliusz – Andrzeja Ułasiewicza?

Oczywiście. Kiedy oglądałem jakiś film o katastrofie morskiej, jak „Titanic” czy „Tragedia Posejdon”, zawsze wyobrażałem sobie, jakie to musi być straszne, co to trzeba tam przeżyć. Coś jest takiego wyjątkowo przerażającego w tragedii na morzu – pewnie ten ogrom wody sprawia, że ludzki umysł nie umie tego za bardzo ogarnąć. Robiąc ten serial, mogliśmy się zbliżyć do tej tragedii, ale jednocześnie cieszyliśmy się, że my jesteśmy bezpieczni. Trzeba pamiętać, że warunki były wtedy okropne: zima, trzy stopnie na termometrze, wiatr z prędkością 180 km/h, deszcz zacinający praktycznie poziomo. Dlatego to wręcz niewyobrażalne, że ktośkolwiek przetrwał tę katastrofę.

Podobno wdowa po kapitanie Ułasiewiczu wskazała pana jako aktora, który powinien zagrać jej męża. To miało dla pana duże znaczenie?

Dowiedziałem się o tym już później. Zorganizowano nam spotkanie z Jolantą Ułasiewicz, która zaproponowała, abyśmy

przeszli na ty i powiedziała mi, że kiedy zapytano ją, który aktor mógłby zagrać jej męża, wymieniła między innymi mnie. Było mi więc bardzo miło i czułem swego rodzaju namaszczenie ze strony rodziny kapitana. Ale za tym szło poczucie obowiązku, dlatego tym bardziej chciałem poznać, jaki prywatnie był mąż Joli. Sie dzieliśmy, jedliśmy i rozmawialiśmy, a ja słuchałem jej opowieści.

Co panu dało to spotkanie z rodziną kapitana?

Przed wszystkim właśnie to przyzwolenie, że to ja jestem tą właściwą osobą, która ma go zagrać. A od strony aktorskiej była to niezwykła pomoc. Jola sprezentowała nam bowiem Świętego Graala tej produkcji – nagranie na kasecie VHS, które kapitan Ułasiewicz zrobił jeszcze za życia. Pół roku przed śmiercią kupił bowiem kamerę wideo i nagrywał wszystko dokoła, jak każdy, kto pierwszy raz w życiu miał kamerę w rękę. To taki moment zachłyśnięcia się jej możliwościami, kiedy kręci się co popadnie, zbliża, oddala, etc. I on nagrywał nie tylko rodzinę, ale też wszystkich na statku, różne jego pomieszczenia, w tym całą swoją kajutę, łącznie z łazienką. Dlatego ta jego kajuta jest w serialu odwzorowana jeden do jednego, łącznie z przedmiotami na stole i na półkach. Dokładnie tak, jak było na statku.

A jeśli chodzi o samą postać kapitana?

Dzięki temu filmowi mogliśmy zobaczyć, że był bardzo lubianą osobą. Miał poczucie humoru, uwielbiał mocną muzykę rockową i dobrą kuchnię.

Był więc bardzo wdzięczną postacią do oddania. U niego zawsze leciało jakieś AC/DC na cały statek. Z różnych wypraw przywoził egzotyczne przyprawy, które pozwalały mu potem gotować ciekawe potrawy. Lubił dobrze zjeść, jego córka Agnieszka wspominała, że „tata zawsze był na diecie”, co znaczyło, że ciągle się odchudzał. To mi było bardzo bliskie. Uznaliśmy, że muszę przybrać na wadze do tej roli, więc w serialu widać moją zmianę fizyczną, bo miałem 15 kg więcej niż mam teraz. Do tego dorobiliśmy jego specyficzną łysinkę na głowie. W związku z tym, że kapitan oraz jego rodzina to jedyne prawdziwe osoby, które pojawiają się w serialu, chciałem, aby moja postać była bliska prawdziwego człowieka. W serialu oglądamy fragmenty z życia kapitana, on nie jest cały czas obecny na ekranie, staraliśmy się więc oddać w tych sekwencjach jakąś prawdę o nim. Jest tam taka scena, w której bliscy kapitana oglądają nagrania z tej kasety VHS. To było właśnie dosłownie przełożone z opowieści jego córki Agnieszki. Widać tam, jaką mieli ze sobą ciepłą relację, to, że kazał się jej uczyć angielskiego, to, że specyficznym mówił takie przedłużone „kurrrrrr”. Z tych małych śladów i okrucich wspomnień, jakie pozostały po człowieku, staraliśmy się go ożywić na ekranie. Dlatego to spotkanie z rodziną kapitana dało mi niezwykle dużo.

Bardzo wzruszająca jest ta sekwencja, w której kapitan nagrywa przez telefon wiadomość dla żony przed wyruszeniem w morze. To kilka zdań – a pięknie charakteryzuje tę po-

stać od prywatnej strony. To był autentyczny monolog?

Autentyczne jest to, że Ułasiewiczowie nie mieli w domu telefonu i kapitan zawsze przed wypłynięciem w morze nagrywał się na automatyczną sekretarkę u wujostwa swej córki. Potem jego żona i córka odsłuchiwały sobie te wiadomości. Ostatnie takie nagranie zostało zarejestrowane właśnie przed jego śmiercią.

Żona i córka kapitana widziały już serial?

Tak. Jola i Agnieszka otrzymały serial i widziały całość. Dostałem od nich potem niezwykle wzruszające wiadomości, które pokazują, jak to mocno na nie zadziało. Że nie spodziewały się, iż po 30 latach związane z tym emocje będą tak silne, zwłaszcza u Joli. To dla mnie niezwykle ważne w tej całej układance, którą stworzyliśmy, że oddaję swą rolę hołd tej osobie, która poszła na dno razem ze swym statkiem.

Czuł pan na sobie wyjątkową odpowiedzialność za takie pokazanie kapitana, żeby to była filmowo pełnokrwista postać, a jednocześnie jego żona i córka zobaczyły na ekranie swego męża i ojca?

Starłem się zrobić to, jak najlepiej potrafiłem, zwłaszcza mając na uwadze to, że ostatecznie nasz serial jest fabularny, jedynie inspirowany prawdziwymi wydarzeniami. Po zakończeniu zdjęć Agnieszka spytała mnie, czy myślę, że to właśnie tak było w jego ostatnich chwilach, jak pokazaliśmy w serialu. Oczywiście miało to retoryczny ton, ale było świadectwem tego, że ona wypierała to tyle czasu i nie dopuszczała do siebie myśli, jak to mo-

gło wyglądać, a teraz zobaczyła to na ekranie. To musiało zrobić na niej ogromne wrażenie. Zresztą podobnie było ze mną. Kiedy oglądałem scenę śmierci kapitana na monitorze, to miałem po prostu łzy w oczach. Kiedy bowiem człowiek wyobrazi sobie, jak to mogło być, to jest potwornie wzruszające.

Nie miał pan łatwego zadania, bo tak jak pan wspomniał, w scenariuszu Kaspra Bajona kapitan Ułasiewicz to główny bohater serialu, ale tak naprawdę pojawia się w niewielu scenach. Spodobało się panu takie przedstawienie tej postaci?

Rozmawiałem z Kasprem i wiedziałem, jaki jest jego zamysł. Uznałem, że to będzie ciekawe: skupić się na postaci, która jest poboczna i nagle okazuje się być pierwszoplanową. Mam tu na myśli bohatera, którego gra Konrad Eleryk. Tymczasem główna postać, czyli kapitan Ułasiewicz, jest obecny duchem w każdym odcinku, ale na ekranie oglądamy go tylko na początku i na końcu. Zaczęłem przygotowania do zagrania tej postaci od odsłuchania nagrania audio ze statku, w którym kapitan wzywa pomocy. Są tam liczne zakłócenia, jest ten sztum, ale słysząc, jak ludzki głos przedziera się przez nie i woła: „Mayday! Mayday!”. To coś poruszającego. Słuchając tego, miałem zaciśnięte gardło. Wyobraziłem sobie, jak musiał się czuć kapitan, wiedząc, że nie ma wyjścia i musi nadać taki komunikat. Pokazujemy to w naszym serialu – i te sceny z kapitanem mają tak ogromny ładunek emocjonalny, że wystarczyło ich kilka, aby ułożył się z nich jego wyrazisty portret.

Jakim doświadczeniem było dla pana zagranie sceny śmierci kapitana, kiedy naprawdę woda podchodziła panu do ust?

To było ciężkie przeżycie od strony emocjonalnej i fizycznej. Wchodziłem do gigantycznej scenografii odwróconego już statku, która zjeżdżała 9 metrów w dół i była prawie cała zanurzana w wodzie. I w tym momencie, kiedy jestem uwięziony na mostku i woda mi się powoli zbliża do głowy, wyobraziłem sobie, jak musiał się czuć kapitan, wiedząc, że za chwilę złapie ostatni oddech i dalej nie będzie już nic. To było coś przerażającego i poruszającego. Nikomu tego nie życzę. Nakręcenie tego było bardzo trudne.

Oglądając w filmie takie historie, zawsze zadajemy sobie pytanie: „Co ja bym zrobił na jego miejscu?”. Pan też tak miał? Oczywiście. Ale to zupełnie abstrakcyjna myśl i można sobie tylko tak gdybać. Nie chciałbym tego nigdy sprawdzać w prawdziwym życiu.

„Heweliusz” został zrealizowany z ogromnym rozmachem, dzięki temu, że zajął się tym Netflix. Ta dbałość o realia pomogła panu wejść w rolę?

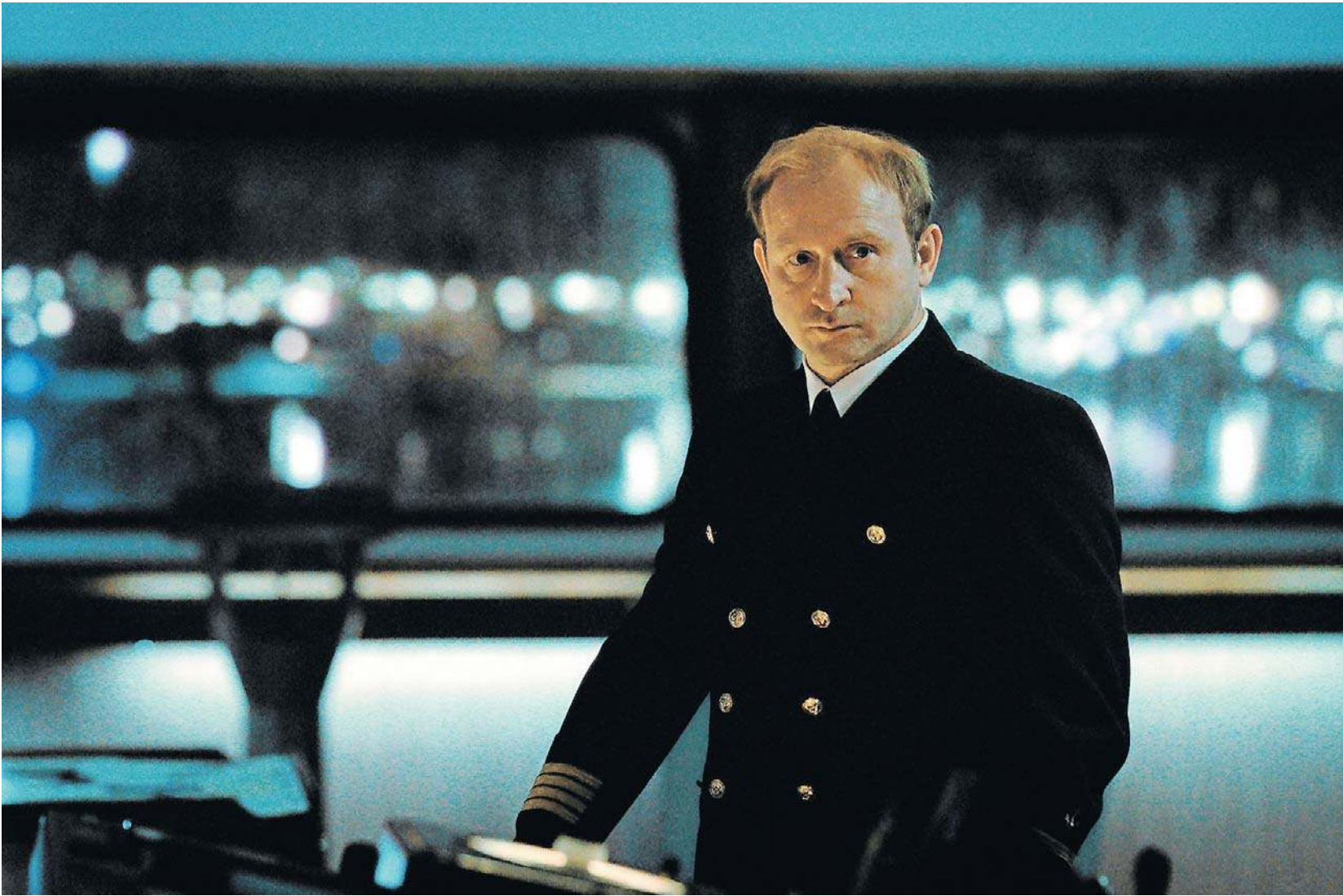
Absolutnie. To była produkcja o największym rozmachu, w jakiej brałem udział. Już myślałem, że naprawdę niewiele rzeczy mnie zaskoczy na filmowym planie, a tutaj spotkałem się z czymś wyjątkowym – zwłaszcza w tych scenach wodnych. I to we wszystkich wymiarach: organizacyjnie, ale też od strony scenografii i efektów specjalnych. Skala tego przedsięwzięcia była absolutnie niepowtarzalna. Myślę, że nic podobnego może mi się jeszcze długo nie przydarzyć.

Jak powstawały te efektowne sceny kręcone na tonącym promie?

Pierwsze zdjęcia, kiedy statek zaczyna się powoli przechylać, kręciliśmy na hali w Warszawie. To były te sekwencje, w których ten przechył miał jakieś 30 stopni. Potem, kiedy miał sięgać 75 i 90 stopni, pojechaliśmy pracować w hali w Belgii, gdzie stworzono gigantyczny basen, w którym ogromne dźwigi uzyskiwały ten efekt. Do tego trzeba było pokazać ten potworny sztorm: my, aktorzy, siedzieliśmy w środku, a w szczyby waliły tony wody, do tego dookoła zbudowane były ekrany ledowe, na których pokazywano nagranie wychodzenia promu z portu w nocy. Mózg był więc atakowany ze wszystkich stron i absolutnie oszukany. Zanim zaczęliśmy zdjęcia, byłem na prawdziwym promie płynącym ze Szczecina do Ystad i przyglądałem się na mostku, jak wygląda wychodzenie z portu. Nagrałem sobie wszystko – i kiedy musiałem to odtworzyć na planie, nie było w tym żadnej różnicy dla mojej głowy. Miałem poczucie, że jestem na promie, on rusza, skręca i płynie. Iluzja była niezwyczajna.

Jak pan sobie radził z tym przechylem, wodą i wiatrem?

Byliśmy tym wykonawcami. Po 12 godzinach kręcenia w takim przechyle, w ogromnej wilgoci i gigantycznym hałasie, bo wszystko było napędzane wielkimi wiatrakami i pompami, miało się wszystkiego dość. Zanim weszliśmy na plan, mieliśmy treningi w Mszczonowie na najgłębszym basenie do nurkowania w Polsce, który ma ponad 45 m w dół. I dla mnie najtrudniejszy fizycznie do przejścia był moment utonięcia kapitana Ułasiewicza i opadania ciała bez wydychania tlenu. Nie mogłem wypuszczać z nosa bąbelków, tylko opadać na całkowitym bezdechu. Musiałem więc nauczyć się mieć w płucach tyle powietrza, żeby wytrzymać kilkanaście sekund, ale na tyle mało, aby



FOT. MATPRAS, NETFLIX/ROBERT PALKA

Borys Szyc: W związku z tym, że kapitan oraz jego rodzina to jedyne prawdziwe osoby, które pojawiają się w serialu, chciałem, aby moja postać była bliska prawdziwego człowieka. Staraliśmy się więc oddać w tych sekwencjach jakąś prawdę o nim

swobodnie opadać w dół jakieś 7 metrów, będąc lekko obciążonym.

Myślałem, że to kaskader gra. Nie. Ja to wszystko robiłem sam.

To dlatego powiedział pan: „Pokonałem przy tym serialu wiele swoich strachów”? Tak. Kiedy byłem małym chłopcem, topiłem się, lęk przed wodą był więc jednym z moich największych w życiu. Pokonałem go już częściowo wcześniej, biorąc udział w Iron Manie, gdzie musiałem płynąć w zatoce w Gdyni. Nurkowanie w wodzie zawsze jednak wiązało się u mnie ze strachem. Za każdym razem przewijały mi się wtedy w głowie kadry z tych różnych filmów katastroficznych. A tutaj musiałem tego na żywo doświadczyć i przeżyć. Pomogły mi to przełamać zajęcia z nurkami i kaskaderami. Ćwiczyliśmy nawet w Belgii na dzień przed kręceniem tej sceny z użyciem liny, która była przypięta 9 metrów w dół. Dlatego kiedy potem grałem to na planie, czułem się już pewnie.

Zagrał pan kapitana Ułasiewicza na 200 procent. Trudno było panu otrząsnąć się po tej roli po zakończeniu zdjęć? Po prostu byłem szczęśliwy, że udało mi się dotrzeć do końca. Miałem takie poczu-

cie, jakby mnie naprawdę uratowali z tonącego statku. (śmiej) Jest taki film z końca zdjęć, na którym widać, jak mnie wiozą na takiej tratwie, wszyscy mi klaszczą, a Janek Holoubek oblewa mnie jeszcze z góry wodą ze szlauchu. To był bardzo wzruszający moment. Bardzo jestem wdzięczny Maciowi Maciejewskiemu, czyli szefowi kaskaderów, który osobiście mnie nadzorował i pilnował w czasie tych wszystkich scen, żebym to bezpiecznie prze-trwał. Bo to były naprawdę bardzo trudne fizycznie zdjęcia. Te chwile, kiedy trzeba było grać, kiedy od dołu cała scenografia powoli się topiła – to było dla mnie wcześniej coś nie do wyobrażenia. Mieliśmy oczywiście ochraniających nas nurków, ale wykonanie tego kosztowało mnie wiele siły i emocji. Dlatego bardzo cieszyłem się, że to się szczęśliwie skończyło. Druga porcja silnych emocji czekała mnie w moim bezpiecznym domu, kiedy oglądając ten serial, byłem niezwykle poruszony. Podobnie moja żona. Trudno jej było to nawet momentami oglądać.

Mówimy tu o żywiole morza, a niedawno miał pan okazję zetknąć się również z żywiołem gór – za sprawą kryminalnego serialu „Forst”. To prawda, że wszedł pan w ten

projekt ze względu na swą miłość do Tatr?

Jak najbardziej. Kocham Tatry, uwielbiam Zakopane, górali, ich muzykę i kulturę. Jestem też smakoszem tamtejszej kuchni. Mam na Podhalu wielu przyjaciół i często ich odwiedzam. Bardzo się więc ucieszyłem, że możemy tę historię zbrodni w górskich plenerach z powieści Remigiusza Mroza przenieść na ekran. Dla mnie tym bardziej było to duże wydarzenie, że był to pierwszy projekt filmowy, który również produkowałem. Miałem więc okazję razem z moją agentką i wspólniczką Martą Barańską i naszą firmą BoMa Films zająć się realizacją serialu również od tej strony. Prześledziłem uważnie cały ten proces produkcyjny, dużym wydarzeniem była też nasza współpraca z Netflixem. Ale również wielka odpowiedzialność. To był bardzo intensywny czas – w sumie siedzieliśmy w górach aż 3 miesiące. Było to od strony organizacyjnej dosyć trudne, bo musieliśmy z całą ekipą dzień po dniu wchodzić na Giewont. Zaczynaliśmy ten spacer o 5 rano w asyście goprowców i „nositczy”, którzy targali tony sprzętu na górę.

Jak to było kręcić o świcie na Giewoncie?

Robiło to gigantyczne wrażenie. Zaczynaliśmy wchodzić w kompletnej ciemności z la-

tarkami na głowach. Towarzyszyła nam kompletna cisza, słysząc było tylko nasze oddechy, gdzieś tam jedynie szemranie strumyków, które płynęły po bokach. Dzień budził się powoli ze snu i dopiero potem rozbrzmiewały głosy zwierząt. Kiedy zaczynaliśmy kręcić, była połowa października, tak że na szczęście nie było jeszcze pełnej zimy. Nam się wtedy wydawało, że fajnie by było, gdyby był śnieg, ale zrozumieliśmy po tych 2-3 dniach, że gdyby on naprawdę pokrył Giewont, to nigdy byśmy tam z tym całym naszym majdanem nie weszli. Pogoda była więc po naszej stronie. Szczególnie piękne wrażenia mieliśmy, kiedy kręcąc u podnóża Giewontu, pojawiało się słońce.

A skąd u pana ta miłość do Tatr?

Jeździłem tam jako dziecko na wakacje, potem kiedy chodziłem do liceum, to każdy sylwester spędzałem w Zakopanem. Było to zawsze bardzo wesołe wydarzenie. (śmiej) Myślę, że wzięło się to najpierw z literatury, potem pokochałem góralską muzykę. Moi rodzice studiowali w Krakowie na Akademii Sztuk Pięknych i w naszym domu zawsze dużo było tych opowieści o górach. Dlatego ta podhalańska nuta drgała w moim sercu. Kiedy byłem w Akademii Teatralnej,

zdawałem egzamin z „Na szkle malowane”, miałem więc okazję wykonywać krakowskie i góralskie piosenki. Ten repertuar jest mi więc bardzo bliski. A moją ukochaną kolędą jest „Oj, Małuśki”. (śmiej) Zawsze mnie ciągnęło w góry.

Serial w Tatrach był dla pana trochę sentymentalną wyprawą?

To prawda. Odwiedziłem Martę Krzeptowską, która zarządza schroniskiem w Dolinie Pięciu Stawów. Ci wszyscy górale tam to też przyjaciele Janka Młynarskiego, który wychował się w Tatrach i zrobił całą oprawę muzyczną do tej produkcji. Spędziliśmy tam więc cudowne chwile – łącznie z niezwykle koncertem z okazji urodzin Janka, kiedy to najpierw wozem, a potem kolejką, przywieziono do Doliny Pięciu Stawów pianino, na którym zagrał potem Marcin Masecki. Z gór przyszli chłopcy ze swoimi instrumentami i wspólnie zrobili niesamowitą jam session. Było to przeżycie jedno na milion. Ludzie, którzy akurat wtedy byli w schronisku, wygrali po prostu los na loterii. (śmiej)

Skoro w „Forście” zagrał pan, ponieważ kocha Tatry, to w „Vinci 2” ze względu na miłość do Krakowa?

W „Vinci 2” zdecydowałem się zagrać, bo grałem w „Vinci”.

W „Vinci” z kolei zagrałem przede wszystkim, bo reżyserował Julek Machulski, a że działo się to w Krakowie, było to dla mnie najpiękniejszą wisienką na torcie. W ten sposób spełniło się bowiem moje marzenie, aby nakręcić coś w tym mieście. Tym bardziej, że pracowaliśmy wokół Akademii Sztuk Pięknych, w której studiowała moja mama, a ja żyłem jej opowieściami od dziecka. Miałem więc wrażenie, że los sprawia mi cudowny prezent, będący jakąś kodą czasową w moim życiu. A teraz wrócić do Krakowa po 21 latach było równie przyjemnie.

Bardzo się Kraków zmienił z pana perspektywy?

Unowocześnił się i zmienił, ale nie na złe, jak niektóre miasta. Nadal jest piękny, pełen sztuki, niezwykłego zapachu, dobrego jedzenia. Jest ciągle taką mieszkanką kultur, którą uwielbiam.

Skoro jesteście przy Krakowie – to bardzo czekaliśmy tutaj na „Kantora”. Jakie są losy tego filmu?

Trzeba się dobijać do producentów. Ja już trochę na to nie mam siły. Walczę o ten film i walczę, nawet obejrzałem go w tym roku w całości. Są wokół niego jednak ciągle problemy natury organizacyjnej i produkcyjnej. W 2022 roku zmarł jego reżyser Janek Hryniak – i to nie ułatwia sprawy. Ale myślę, że film nawet w takiej formie, w jakiej jest teraz, byłby absolutnie bardzo ciekawy. Mam nadzieję, że kiedyś ujrzy on salę kinową.

Ci, którzy widzieli fragmenty, pisali, że Tadeusz Kantor to może być pana „rola życia”. Rzeczywiście tak mocno wszedł pan w tę postać?

Tak. Kiedy obejrzałem film w zeszłym roku, to zrobił na mnie wielkie wrażenie. Odwzorowaliśmy tam spory kawałek spektaklu „Umarła klasa”, który dzieje się na różnych scenach. Zaczynamy w Krzysztoforach, potem jesteśmy w Starym Teatrze i Teatrze Słowackiego, potem wychodzi to za granicę aż do Nowego Jorku. Są to więc też momenty ściszące za gardło. Tadeusz Kantor to postać, która zasługuje na niejeden film, a my nie możemy jednego skończyć.

To chyba też bliska dla pana postać ze względów rodzinnych.

To prawda. Słyszałem o nim od mamy od dziecka. Mama miała taką relikwię – legitymację do Krzysztoforów, podpisaną przez Kantora. Jej opowieści były więc dla mnie wspaniałym wstępem do zagrania tej roli. A jej zagranie – kolejną kodą czasową w moim życiu.

Ukraińcy mówią: specjalna operacja informacyjno-psychologiczna, my: wojna hybrydowa, dezinformacja. Wiadomo, jaka jest skala tego zjawiska?

Zadam kontrpytanie: O co pani konkretnie pyta? O Polskę? O Europę? O świat? Tutaj nie ma jednej odpowiedzi.

Zacznijmy od Polski.

Skala zjawiska dezinformacji rosyjskiej w Polsce jest bardzo duża. My sobie z tego do końca nie zdajemy sprawy, ale choćby sytuacja z dronami z 9 na 10 września pokazuje, z czym mamy do czynienia. Narracja, która wtedy de facto wygrała w serwisach społecznościowych mówiła o tym, że były to ukraińskie drony. To dowód na to, jak silnie dezinformacja rosyjska jest obecna w Polsce, jak jest podgrzewana przez niektóre konta, jak mocno wykorzystywane są algorytmy i boty, jak tak na dobrą sprawę wykorzystuje pewne cechy naszego społeczeństwa. A w naszym wypadku jest to rosnąca i coraz bardziej widoczna niechęć do wsparcia Ukrainy i do samej obecności Ukraińców w Polsce.

Mam rozumieć, że w Europie, na świecie to działa w bardzo podobny sposób?

Działa w sposób i podobny, i różny. Dlaczego? Dlatego że każde społeczeństwo jest inne, każde ma swoje podatności, swoją historię, każde społeczeństwo ma sytuację, których może się w swojej historii wstydzić. Więc mimo wszystko rosyjska propaganda będzie działała nieco inaczej w Polsce, nieco inaczej w Niemczech, jeszcze inaczej we Francji, a zupełnie inaczej będzie oddziaływać na przykład na państwa postkolonialne, zwłaszcza w Afryce. Nie ma jednego schematu dezinformacji – te schematy są przez Rosję tworzone dla poszczególnych społeczeństw, poszczególnych państw z wykorzystaniem ich słabości, ich naturalnych procesów politycznych, z wykorzystaniem ich historii. Jeżeli możemy się dopatrywać pewnych podobieństw, to mamy do czynienia z szerokim wykorzystaniem nowoczesnych środków związanych właśnie z botami, z algorytmami, z aktywnością w przestrzeni internetowej. I to zapewne jest pewien wspólny mianownik, który łączy rosyjską dezinformację. I znów – inne będą cele Rosji na przykład w stosunku do państw NATO, w stosunku do państw, które wspierają Ukrainę, a inne będą cele Rosji w stosunku do państw afrykańskich, państw Bliskiego Wschodu czy państw Azji.

Właśnie, bo mówi się, że Rosja na dezinformację wydaje rocznie 4 do 6 miliardów dolarów.

– Chodzi o to, żeby wywołać strach, który sparaliżuje. Przestraszone społeczeństwo będzie wywierało presję na rządzących, aby ci zaakceptowali w końcu rosyjskie żądania, bo jeżeli tego nie zrobią, to grozi nam wojna.

Widzimy próbę zasiania takiego myślenia, zasiania strachu, który spowoduje, że wywiesimy białą flagę, a nie będziemy myśleć, jak uzbroić się po zęby, by odstraszyć Rosjan – mówi Anna Maria Dyner, analityczka PISM

Dorota Kowalska



Dyner: Informacje propagandowe mają na celu wywołać u nas wzburzenie, zanim jeszcze pomyślimy

ANNA MARIA DYNER: ROSYJSKA DEZINFORMACJA ŻYWI SIĘ EMOCJAMI

Ale jak jest zorganizowana? Szerzą ją farmy trolli? Jak to działa tak naprawdę?

Na dobrą sprawę to, co identyfikujemy, to pewien wierzchołek góry lodowej. W tę dezinformację zaangażowane są rosyjskie służby specjalne, farmy trolli, grupy APT, które są związane z konkretnymi służbami specjalnymi – czy to ze Służbą Wywiadu Zagranicznego, czy z FSB. Więc tak naprawdę machina propagandowa jest bardzo mocno rozkręcona. Warto zwrócić uwagę, że Rosjanie nie do końca uderzają w ciemno. Oni prowadzą rozpoznanie psychologiczne, starają się zidentyfikować bolączki poszczególnych państw, ich słabości, wykorzystać naturalną walkę polityczną, która w poszczególnych krajach ma miejsce. Rosjanie czasami testują pewne narracje, sprawdzają, czy jakiś wątek – jak to się mówi w języku medialnym – „zażre”, czy będzie popularny. Jeśli będzie popularny, będą w niego inwestować, jeśli nie, mogą taką narrację zarzucić i do niej albo wrócić w dalszej przyszłości, albo zupełnie ją wykreślić. To się też zmienia z czasem, bo nasze podatności się zmieniają, co pokazuje choćby historia prawie czterech lat wojny w Ukrainie i podejścia polskiego społeczeństwa do wsparcia Ukrainy. Rosjanie bardzo wnikliwie śledzą wszystkie trendy i potem starają się precyzyjnie uderzać, żeby osiągać swoje cele. W przypadku państw zachodnich chodzi o rozbijanie zachodniej jedności, wywoływanie strachu, paraliżującego strachu, a nie strachu, który motywuje do działania. I nawet ta kwota, o której pani wspomniała, w stosunku do potencjalnych zysków, które Rosja może osiągnąć przez wojnę hybrydową, to mimo wszystko „orzeszki”.

No dobrze, ale z tego, co Pani mówi, wynika, że w akcję dezinformacji zaangażowanych jest tysiące ludzi. Skoro rozpracowywany jest każdy kraj, badany pod kątem historii, psychologii społeczeństwa, to z tego wynika, że nad kreowaniem i szerzeniem dezinformacją pracują tłumy!

Zgadza się, ale też w skali Rosji to nie jest aż tak duży wysiłek. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w tego rodzaju działania dodatkowo zaangażowane są środki w postaci informatyków, botów, algorytmów, cała sieć tak zwanych użytecznych idiotów albo wręcz wprost agentów prorosyjskich, to nadal to nie jest bardzo duża skala zaangażowania. Nawet jeśli przyjmiemy, że w te działania zaangażowanych jest kilka tysięcy osób, to warto zwrócić uwagę, ile setek osób ginie codziennie na froncie w Ukrainie. Kiedy porównamy te dwie skale, to okaże się, że tak na-

prawdę, to biorąc pod uwagę olbrzymie terytorium i cały potencjał Federacji Rosyjskiej, te siły i środki nie są aż tak duże.

Są jakieś fale dezinformacji, czy ona jest po prostu stała? Czy na przykład generują ją pewne wydarzenia?

Propaganda nie jest stała. Ona oczywiście opiera się na wydarzeniach, bo wydarzenia dają paliwo propagandzie. I tak jak już wspomniałam, choćby atak dronowy w Polsce – w zasadzie od momentu, kiedy pierwsze drony przekroczyły naszą granicę, można było zaobserwować falę dezinformacji w serwisach społecznościowych. To pokazuje, że są historie, które powodują, iż bardzo łatwo rozsiewać propagandę: to mogą być różnego rodzaju spory polityczne między poszczególnymi państwami, szczyty, konferencje, protesty społeczne, które mają miejsce choćby w krajach Unii Europejskiej. Wszystko to jest zarzewiem do kolejnych fal dezinformacji. Dlaczego? Bo dezinformacja żywi się emocjami, a protesty społeczne, wybory, o których jeszcze nie wspomniałam, to elementy życia publicznego, które właśnie wywołują emocje. Na nich jest bardzo łatwo budować strategię dezinformacyjną. Pandemia COVID-19 pokazała, ile dezinformacji było wywołanej strachem, zwłaszcza w początkowych tygodniach zamknięcia się poszczególnych państw i niewiedzy co do tego, jak bardzo groźny to wirus. Więc wszystkie sytuacje, które oddziałują na społeczeństwo, są tematami rozmów – one będą przez propagandę wykorzystywane.

Wydaje się, że cele dezinformacji są jasne. Chodzi o to, żeby zniechęcić społeczeństwa europejskie i światowe do Ukrainy, do wojny w Ukrainie. Ale chyba to nie jest jedyny cel, prawda? Chodzi też o sianie chaosu, strachu. Tak jak już wspomniałam, oczywiście że chodzi o sianie strachu, wątpliwości. W przypadku Polski to z jednej strony bardzo silne staranie, aby podważyć zdolności sił zbrojnych, podważyć zasady, na których opiera się Sojusz Północno-atlantycki. Mamy przecież słynną narrację, że sojusznicy nas zdradzają jak w 1939 roku, niezależnie od tego, jak bardzo warunki z 1939 roku i obecnie się różnią. Chodzi o to, żeby wywołać strach, który sparaliżuje. Przestraszone społeczeństwo będzie wywierało presję na rządzących, aby ci zaakceptowali w końcu rosyjskie żądania, bo jeżeli tego nie zrobią, to grozi nam wojna. Widzimy próbę zasiania takiego myślenia, zasiania strachu, który spowoduje, że wywiesimy białą flagę, a nie będziemy myśleć, jak uzbroić się po zęby, by odstraszyć Rosjan. To, co jest

też bardzo ważne, to kreowanie chaosu na tyle poważnego, żeby rządzący musieli się nim na bieżąco zajmować, a nie myśleć o kwestiach strategicznych. To takie przepalanie wyśiłku na bieżące protesty, na łagodzenie czy próbę łagodzenia polaryzacji społecznej, na różnego rodzaju z pozoru drobne rzeczy. Potem nie ma już sił i środków, a czasami nie starcza woli politycznej, aby wspólnie zastanowić się nad strategicznymi priorytetami danego państwa.

Są jakieś wiodące narracje w wojnie hybrydowej?

To też zależy: inne będą narracje wiodące w państwach europejskich, nieco inne w Stanach Zjednoczonych, a jeszcze inne, tak jak wspomniałam, choćby w Afryce. Jeśli chodzi o państwa europejskie, to gdybyśmy mieli szukać wspólnego mianownika, to jest nim narracja, że wsparcie dla Ukrainy przedłuża tę wojnę, co generuje bardzo poważne koszty po stronie europejskiej i bardzo obniża bezpieczeństwo kontynentu.

Tym językiem propagandy bardzo często mówią sami politycy!

Nie chciaabym się do tego odnosić.

Dobrze, ludzie ulegają dezinformacji. Tak jak Pani wspomniała, część polskiego społeczeństwa uwierzyła, że to drony ukraińskie wleciały do Polski. Dlaczego? Bo jesteśmy za mało wyedukowani, bo nie sprawdzamy informacji, bo ich nie pogłębiaamy? Co sprawia, że w fake newsy po prostu wierzymy?

Myślę, że przede wszystkim częściowo wpływa na to brak komunikowania strategicznego. Do zdarzenia w tym konkretnym wypadku doszło nocą. Algorytmy i boty zapracowały w taki sposób, że rano, kiedy ktoś otwierał jakiś serwis społecznościowy, miał zalew informacji właśnie pod tytułem, że to ukraińskie drony wleciały do Polski. Zanim dokopał się do innego źródła informacji i stwierdził, jak było naprawdę, mógł pomyśleć, że skoro tak dużo mówi się i pisze o tym w sieci, to zapewne jest w tym jakaś prawda. To jeden element. Drugi – informacje propagandowe są bardzo silnie nacechowane emocjonalnie, mają na celu wywołać w nas wzburzenie, zanim jeszcze pomyślimy. Mamy zareagować emocjonalnie, wydać osąd, być gotowym do działania, do krytyki, zanim przyjdzie refleksja. Do tego dochodzi kwestia braku weryfikacji źródeł informacji, braku zastanowienia się. Ale znowu – to element psychologiczny, propaganda najpierw działa na emocje.

Pojawiają się głosy, że wojnę dezinformacyjną czy hybry-

dową Rosja w Polsce już wygrała, bo jesteśmy społeczeństwem podzielonym i wzrasta niechęć do Ukrainy. Rzeczywiście badania wykazują, że jesteśmy coraz bardziej sceptyczni wobec Ukraińców?

Jeśli spojrzeć na badania, to obserwowany jest spadek poparcia dla wsparcia dla Ukrainy. Czy rosyjska propaganda wygrała? Myślę, że Rosjanie częściowo wygrali, ale tak naprawdę bazują na bardzo wielu elementach życia społecznego, które istniały wcześniej. Przecież gdyby między Polską i Ukrainą nie było sporów historycznych, a kwestie historyczne były wyjaśnione i rozwiązane już lata temu, to nie byłby element, na którym można grać. Teraz na przykład Rosjanie do spółki z częścią establishmentu białoruskiego próbują wykorzystywać hasło, że II RP okupowała zachodnie ziemie Białorusi w okresie międzywojennym. To przykład próby sztucznego wywołania sporu wokół historii. Natomiast w przypadku Ukrainy taki spór już istniał. Do tego wszystkiego doszła analiza ze strony rosyjskiej bólczek polskiego społeczeństwa, czyli tego, że generalnie narzekamy na długie kolejki do lekarzy, na jakość edukacji publicznej, na brak miejsc w przedszkolach. Jak to wykorzystać? Budować narrację, że przyjęliśmy tysiące uchodźców, a to oznacza, że te kolejki jeszcze się zwiększą, a nasze dzieci nie dostaną się do przedszkoli. To połączenie stałych bólczek z tymi, które można dodatkowo wygenerować, wykorzystując właśnie obawy, stereotypy, czasami brak elementarnej wiedzy. A wszystko to musi być nacechowanie emocjonalne.

Ucieka Pani od odpowiedzi na to pytanie, ale zadam jej może ogólniej: dlaczego elity europejskie, światowe, nie tylko polscy politycy, mówią językiem rosyjskiej propagandy? Czy to wynika z niewiedzy? Z poglądów? A może mamy wśród polityków rosyjskich agentów?

Na to ostatnie pytanie na pewno nie odpowiem, to nie jest pytanie do analityka takiego jak ja. Natomiast jeśli chodzi o prorosyjską propagandę, niekoniecznie politycy będą świadomi tego, że operują hasłami, które są suflowane ze strony Kremla – to pierwsza rzecz. Druga – skoro na przykład w jakimś społeczeństwie mamy rosnącą naturalną z pozoru niechęć do wsparcia Ukrainy, to siłą rzeczy część polityków będzie chciała to wykorzystać do budowania swojej pozycji i do podkręcania swojej popularności. Jeżeli decydent uważa, że jest jakiś trend w społeczeństwie, to chętnie się pod ten trend podepnie.

Oczywiście nie chcę bronić wszystkich polityków, można długo rozmawiać na temat tego, jak Rosjanie byli aktywni, wspierając czy to skrajną prawicę, czy skrajną lewicę w różnych państwach, zwłaszcza zachodnioeuropejskich. Zostawiłabym to z boku, ale na tym też częściowo Rosjanie bazują. Tak jak wspomniałam, jest bardzo różnie w różnych państwach, ale czasami wystarczy wykreować czy podkreślić pewne oczekiwania społeczne, a politycy za nimi pójdą.

Dezinformacja w jaki sposób się zmienia? Zauważyli państwo, że jest, nie wiem, coraz lepsza, coraz lepiej zorganizowana? Jak to wygląda?

Już rozmawialiśmy o tym: ona się zmienia, nie jest cały czas taka sama. Tak na dobrą sprawę szalenie trudno na to pytanie odpowiedzieć, bo czasami wydawałoby się, że jakieś wydarzenie będzie samograjem dla Federacji Rosyjskiej, a nie przynosi efektu, a czasami jakaś sytuacja, które teoretycznie nie powinna przynieść efektów, przynosi. Weźmy choćby ten kryzys z dronami: większość spodziewałaby się, że to oczywiste, że to nie Ukraina nas atakuje, tylko rosyjskie drony. Tym bardziej że wszystkie media podawały, jaki to typ dronów, których Ukraina nie produkuje, ale mimo to udało się wykreować inną narrację. Więc do pewnego stopnia był to rosyjski sukces. Tylko znów – są sukcesy krótkoterminowe, które albo mogą stać się dla Rosji sukcesami długoterminowymi, albo w zależności od reakcji obronnej danego państwa mogą się stać porażką, bo na chwilę narracja społeczna wychyli się w jedną stronę, ale będą podjęte działania, które tę narrację społeczną naprostują, a to wywoła efekt odwrotny od zamierzonego przez Rosjan.

Biorąc pod uwagę fakt, że cały świat, a zwłaszcza Europa, jest wojną w Ukrainie zmęczona, dezinformacja pada na bardzo podatny grunt, prawda?

Oczywiście, że tak. Ale to nie jest tak, że chodzi wyłącznie o Ukrainę, bo znów, jak już mówiłam, wykorzystywane są bólczki różnych państw, na przykład te związane z niedoskonałością służby zdrowia czy niedoskonałością systemu edukacji. Więc to nie tylko jest kwestia samej Ukrainy. Czasami powiedziałabym nawet, że antyukraińska narracja jest wręcz schowana.

Ale czemu to służy?

Tak jak już wspomniałam: chodzi o zaangażowanie poszczególnych rządów w bieżące zarządzanie chaosem, brak strategicznego myślenia, podziały wewnątrzpolityczne, polaryzację, podział między państwami zachodnimi. To jest

całe spektrum, które osłabia państwa zachodnie. I z tego korzysta Rosja.

Dobrze, ale jak z tym skutecznie walczyć?

Trudno jest z tym skutecznie walczyć. Nawet zaryzykuję tezę, że w zasadzie jest to niemożliwe. Oczywiście należy przede wszystkim myśleć o edukacji, i to od przedszkola, pokazującej, czym jest dezinformacja, uczącej, jak odróżniać dezinformację od informacji prawdziwych, gdzie należy szukać właściwych źródeł. Ważne są kampanie informacyjne prowadzone przez instytucje państwowe odpowiedzialne za komunikowanie strategiczne czy fragmenty tego komunikowania. Ale tutaj dochodzimy trochę do ściany, dlatego że z punktu widzenia prawa państw demokratycznych dezinformacja nie jest nielegalna.

I myślę, że jest część osób w każdym społeczeństwie, która będzie wierzyła w jakieś teorie spiskowe czy właśnie w dezinformację.

To jedna rzecz, a druga jest taka, że to jest też szalenie trudna sprawa, jak wyważyć chęć ewentualnego prawnego walczenia z dezinformacją, z wolnością słowa, z prawem do swobody przekonań i ze wszystkimi demokratycznymi prawami, które są immanentną częścią państw zachodnich. To wcale nie jest łatwe i proste do zdefiniowania. I to też wykorzystuje Federacja Rosyjska, traktuje jako pewną słabość państw zachodnich, bo one bardzo trzymają się prawa, nie chcą ograniczać wolności i swobod jednostek, nie chcą narzucać silniejszej kontroli społecznej. To właśnie powoduje, że różnego rodzaju historie, które dla większości zdroworozsądkowo myślących ludzi nie mają racji bytu, mimo wszystko jakoś tam w różnych społeczeństwach rezonują.

Wychodzi na to, że zostaje nam edukacja.

Tylko i wyłącznie tak naprawdę.

I polityka informacyjna rządu.

Nie tylko rządu, powiedziałabym, że instytucji państwowych. Na przykładzie Wojska Polskiego, jeżeli wojsko – a robi to coraz lepiej – komunikuje jasno i wyraźnie, że są takie a takie ćwiczenia, będą się przemieszczały kolumny wojskowe, nie ma powodu do obaw – to już powoduje, że narzucana jest pewna narracja. Trudniej siać strach – to pierwsza rzecz. I druga rzecz jest tego rodzaju, że tam, gdzie nie ma informacji, natychmiast pojawiają się fake newsy.

Bo nie ma co liczyć na to, że Rosja z wojny hybrydowej w końcu się wycofa?

Absolutnie nie – ona będzie ją kontynuować. To z jej perspektywy bardzo efektywne kosztowo, niezależnie od tego, że nam może się wydawać, że angażuje w tę wojnę duże siły i środki. Nie, to nie są duże siły i środki w skali całego państwa rosyjskiego, a przynoszą efekty. Przynoszą poważne reperkusje społeczno-polityczne w niektórych państwach. I w zasadzie to jest ten element, którym Rosja będzie chciała rozmiękczać państwa zachodnie, co jest zresztą zgodne z jej myśleniem wojskowym. Walery Gerasimow od 2013 roku jasno wskazywał, w którą stronę będą prowadzone rosyjskie działania i z wykorzystaniem jakich elementów.

Niektórzy mówią, że większe sukcesy Rosja osiąga właśnie w wojnie hybrydowej niż w wojnie stacjonarnej, czyli na terenie Ukrainy.

Trudno to tak naprawdę ocenić, bo nie znamy ostatecznych efektów wojny w Ukrainie. Trzeba je będzie przeanalizować, kiedy działania zbrojne się skończą. Nie wiemy też, jakie będą długotrwałe efekty społeczne tej wojny.

Widzi Pani jakąś szansę na zakończenie wojny w Ukrainie w ciągu najbliższych tygodni, miesięcy?

Tygodni na pewno nie, czy miesięcy – powiem szczerze, trudno to sobie wyobrazić. Teoretycznie wydawało się, że Donald Trump jest coraz bardziej poirytowany brakiem działań ze strony Federacji Rosyjskiej, że koniec wojny może być bliski; teraz okazało się, że niekoniecznie. Oczywiście zobaczymy, co przyniesie ewentualne spotkanie Trumpa z Putinem w Budapeszcie. Natomiast powiem tak: nawet jeżeli zostaną zakończone działania zbrojne, to my z efektami tej wojny zostaniemy na bardzo długo, zwłaszcza biorąc pod uwagę imperialną politykę Federacji Rosyjskiej.

CV



FOT. JAKUB STEINBOERN

Anna Maria Dyner

Analityczka ds. wschodnich i polityki bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w programie „Bezpieczeństwo Międzynarodowe” w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

KRZYŻE KUTE PRZEZ KOWALI ZNIKAJĄ Z NASZYCH CMEN-TARZY

Kowalskie krzyże cmentarne to były małe dzieła sztuki. – Wymagały od kowala inwencji twórczej – podkreśla Hubert Czochański, kurator wystawy „Nagrobny krzyż kowalski na Podlasiu”, którą można oglądać w Podlaskim Muzeum Kultury Ludowej

Andrzej Kłopotowski

Czy kowalskie krzyże cmentarne, które jeszcze możemy czasami spotkać na Podlasiu, wyróżniają się spośród krzyży z innych regionów Polski?
Nasze krzyże nie posiadają cech regionalnych. W całej Polsce krzyże cmentarne wyglądały podobnie. Pojawiły się w połowie XIX wieku, zastępując krzyże drewniane.

Wynikało to z rozwoju technologii?
Nie. Raczej z mody cmentarnej, z mody sepulkralnej, która w XIX wieku ulegała zasadniczym zmianom. Drewniane krzyże były nietrwałe, szybko ulegały degradacji. Głównie jednak chodziło o modę cmentarną.

Skąd ta moda przyszła? Z dużych miast?
Najstarsze datowane kowalskie krzyże nagrobne to krzyże norweskie. Pochodzą z połowy XVIII wieku. Moda na krzyże kowalskie w Europie Zachodniej pojawiła się więc sto lat wcześniej niż u nas. Jeżeli chodzi o pojawienie się krzyży na cmentarzach wiejskich w Polsce, to moda przyszła z cmentarzy miejskich.

A czy na tych krzyżach są jakieś wyróżniki wynikające z wyznania - katolickiego, prawosławnego czy ewangelickiego?
Na Podlasiu krzyże prawosławne czasami posiadają u nasady skośną belkę. Nie był to jednak zwyczaj powszechny. Bardzo wiele krzyży prawosławnych jej nie posiada. Zarykowałbym stwierdzenie, że ma ją co trzeci krzyż prawosławny. Większe zmiany zauważalne były w krzyżach drewnianych. W Polsce północno-wschodniej krzyże drewniane były np. odpowiednio większe. Miały trzy, cztery metry wysokości. W przypadku krzyży kowalskich czasami dochodziła skośna belka no i półksiężyc - symbol Matki Bożej czy też zwycięstwa chrześcijaństwa nad pogaństwem. Choć na krzyżach cmentarnych występuje on rzadko, w przeciwieństwie do wcześniejszych krzyży



– Krzyże cmentarne w całej Polsce wyglądały podobnie. Pojawiły się w połowie XIX wieku, zastępując krzyże drewniane – mówi Hubert Czochański



Kute krzyże cmentarne mają ozdobne zakończenia ramion – w kształcie strzałek, listków, grotów albo lilii andegaweńskiej

umieszczanych np. na kapliczkach.

A elementy związane z tradycją litewską, np. motywy solarne czy astronomiczne, które pojawiają się na krzyżach drewnianych?

Na krzyżach kowalskich nie ma tej symboliki. Czasami przyjmowały one formę kapliczki z Pasją nakrytą daszkiem. W XIX wieku pojawiały się odlewy zakończenia ramion w formie lilii andegaweńskiej, symbolizującej Matkę Bożą, czystość. Na krzyżach cmentarnych pojawiają się także symetrycznie umieszczone, wykonane z taśmy stalowej (tzw. bednarki) ślimacznice, esownice, woluty, półwoluty. Niektóre krzyże nie mają tradycyjnej budowy - belki pionowej i belki poziomej, horyzontalnej. Głównym elementem konstrukcyjnym staje się w nich ażurowa tarcza, do której przymocowane są ramiona krzyża. Czymś, co wyróżnia krzyże cmentarne są ozdobne zakończenia ramion, w kształcie strzałek, listków - czasami nawet z zaznaczonym żyłkowaniem - grotów, wspomnianej lilii andegaweńskiej. Te wszystkie elementy były wykonywane przez kowali w różnych układach.

To były elementy - jak byśmy to określili - ze wzornika?
Nie. To pozostawało w gestii kowala. Zależało od jego inwencji twórczej.

Co było charakterystycznego w technologii tych krzyży?
Technologia kowalska była wykorzystana w ograniczonym stopniu. Nie korzystano ze zgrzewania, tradycyjnej techniki w kowalstwie ludowym. W krzyżach jest wykorzystywane nitowanie. Na krzyżach cmentarnych pojawiają się opaski przytrzymujące dekory.

Czy - zajmując się krzyżami - czuje pan, że ma styczność z wytworem wyjątkowym? Czy czuje pan, że kowal próbował przenieść na nie natchnienie? Że nie była to „chałtura” pokroju podkucie konia?

Zdecydowanie. Krzyże były chyba jedyną grupą obiektów w kowalstwie ludowym, które - poza użytkowością - posiadały świadomie realizowane zamierzenia twórcze. Wymagały inwencji twórczej. Wszystkie inne obiekty kowalskie były do wykorzystania w gospodarstwie.

Kiedy nadszedł kres wiejskich krzyży kowalskich?

Jeszcze w XIX wieku - obok krzyży kowalskich - pojawiają się krzyże żeliwne, odlewy żeliwne. Były konkurencyjne dla wyrobów kowalskich. Znajdowały się w asortymencie fabryk np. huty Sztabin Karola Brzostowskiego, zakładów Antoniego Wierzchowskiego w Białymstoku czy huty w Grodnie. Kres przyniosła II wojna światowa. W PRL-u na cmentarzach pojawiły się już krzyże spawane z rur, o wątpliwej wartości artystycznej. W dalszej kolejności na cmentarzach „wchodziło” laststryko.

Z roku na rok krzyży ubywa, są zabierane z nekropolii. Czy możemy mówić o tym, że jako społeczeństwo nie jesteśmy świadomi dziedzictwa? Czy też mamy do czynienia z nową, cmentarną modą?
Z jednym i z drugim.

Jak chronić krzyże wykonane przez kowali? Czy widzi pan jakiś sposób na ochronę ich na cmentarzach, czy też jedyną skuteczną metodą jest ich przenoszenie np. do skansenów?
Myślę, że jedyną metodą ochrony jest pozyskiwanie krzyży do muzeów, w tym do skansenów.

To jeżeli już trafiają do skansenów, je eksponować i pokazywać? Na wystawach? W terenie?
W Podlaskim Muzeum Kultury Ludowej mamy stworzone lapidarium, gdzie eksponowane są krzyże i kamienie nagrobne. Nie ma ono charakteru cmentarza. Nasza kolekcja liczy około 80 krzyży kowalskich, z czego 35 pokazujemy na wystawie. To krzyże z przełomu XIX i XX wieku oraz z początku XX wieku. Wystawę można oglądać do końca roku.

KRYMINAL

Słów kilka o poczuciu humoru Raymonda Chandlera

Karakter wydał właśnie siódmą powieść Raymonda Chandlera „Playback”, w nowym tłumaczeniu Bartosza Czartoryskiego. „Playback” miał premierę w 1958 r., rok przed śmiercią pisarza.

Marlowe tropiący rudą piękność

To nie był dlań najlepszy czas – po śmierci żony w 1954 r. wpadł w melancholię podlewaną monstualnymi ilościami alkoholu. Od 1946 r. mieszkał w La Jolla, opisaną w „Playbacku” jako nadmorski kurort Esmeralda.

Fabula powieści jest dość wyrafinowana: Philip Marlowe ma śle dzić młodą kobietę, a właściwie nie spuszczać jej z oka pod żadnym pozorem. Rudowłosa piękność to Betty Mayfield, oskarżona w głośnym procesie sądowym o zamordowanie własnego męża. Marlowe wyjeżdża za nią z Los Angeles i trafia do Esmeraldy. Okazuje się, że jego też ktoś śledzi. Zaczyna się kryminalna kołomyja.

Chandler chichocze pod nosem

Wróćmy do CV Chandlera, Piszząc „Playback”, mógł być w depresji i na bani, ale czy w powieści faktycznie odbija się psychofizyczny kryzys pisarza? Redaktorzy z Karakteru nie mają wątpliwości: książka jest „kameralna, wyciszona, przejmująca do głębi” – czytamy w opisie. „Chandler nigdy nie był tak gorzki”.

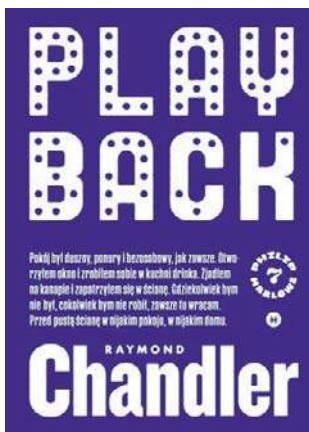
No dobrze, otwieramy książkę na pierwszej stronie i czytamy: „Głos w telefonie był ostry i apodyktyczny, ale nie słyszałem zbyt dobrze, co w ogóle mówił – po części dlatego, że jeszcze się nie rozbudziłem, po części dlatego, że trzymałem odwrotnie słuchawkę”.

Czy powyższy fragment to dowód na Chandlerowską gorycz, czy raczej na to, że pisarz miał poczucie humoru? Kilka stron dalej:

„– Christian Dior – powiedziała, czytając we mnie jak w otwartej księdze. – Nigdy nie noszę niczego innego. Ogień proszę. – Dzisiaj nosi pani znacznie więcej – otwarłem zapalniczkę. – Nie gustuję w umizgach o tak wczesnej porze. – A która godzina byłaby odpowiednia, panno Vermilyea?”. I jeszcze coś ze środka: „– Czemu pan nie powiedział, że jest detektywem? – Cóż za pytanie. – Uśmiechnąłem się – czy detektyw kiedykolwiek się przyznaje, że jest detektywem. Przecież pan ogląda filmy. – W telewizji z miejsca można poznać detektywa: nigdy nie zdejmuje kapelusza”.

Jak się masz Lucky?

Jest w życiorysie Chandlera epizod właśnie z 1958 r., gdy już ponoć nie odrywał się od butelki. Oto podczas spontanicznie podjętej podróży na Capri przeprowadził wywiad z mafiosem, niejakim Lucky Luciano, twórcą nowoczesnej przestępczości w Stanach, tzw. Narodowego Syndykatu. Esej pod tytułem „My Friend Luco” nigdy nie ukazał się drukiem, ale skłania do hipotezy, że może jednak z Chandlerem nie było wówczas aż tak źle? **margra**



Raymoind Chandler,
„Playback”,
wyd. Karakter,
Kraków 2025,
cena 49 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KATARZYNA CICHÓPEK

Zaprosiła na bagna

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami w minioną sobotę prezenterka wzięła ślub ze swym obecnym partnerem – Maciejem Kurzajewskim. Uroczystość odbyła się w Hotelu Drob w Urszulinie, niedaleko malowniczego Poleskiego Parku Narodowego. Para zaprosiła około 150 gości, w tym wielu znanych z mediów i polityki, aby świętować ten niezwykły dzień. Huczną imprezę zaszczycili swą obecnością m.in.: Aleksander Sikora, Magdalena Narożna, Joanna Kurka czy Agnieszka i Grzegorz Hyży. Dekoracje weselne utrzymane były w jesiennej kolorystyce. Panna młoda była ozdobą wieczoru dzięki czterem kreacjom, za które odpowiadała renomowana projektantka Viola Piekut. Maciej Kurzajewski z kolei zdecydował się na klasyczny garnitur. W niedzielę nowożeńcy zaprosili gości do spędzania czasu na świeżym powietrzu, a głównym punktem tego dnia było... wspólne zwiedzanie bagien Poleskiego Parku Narodowego.

JOANNA PRZETAKIEWICZ

Zachwyciła się

George Clooney zawiązał kilka dni temu do Łodzi na Igrzyska Wolności. W wydarzeniu wzięła udział również Joanna Przetakiewicz. Projektantka podzieliła się potem na Instagramie pamiątkowymi zdjęciami z aktorem. Okazuje się, że zrobił na niej ogromne wrażenie. „George Clooney – tak, na żywo też jest piękny i czarujący. Spotkanie z nim to czysta przyjemność. Kiedy zadaje pytanie – słucha i jest zainteresowany. Klasa. Urok. Wdzięk. Zero pretensjonalności” – napisała celebrytka. I dodała: „Ale to, co naprawdę mi zaimponowało, to jego postrzeganie świata. Jako hiper gwiazda o światowej rozpoznawalności wykorzystuje swój mocny głos do obrony najważniejszych spraw. Ojciec nauczył go wybitnej społecznej odpowiedzialności” – podsumowała.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Tańczy po swoimu

Nie milkną echa minionego odcinka „Tańca z Gwiazdami”,



FOT. AUTOR

Joanna Koroniewska przyznała, że kiedyś nie odpowiadała jej własna powierzchowność

w którym decyzją widzów i jurorów Agnieszka Kaczorowska i Marcin Rogacewicz odpadli z programu. W odróżnieniu od wielu wyeliminowanych, którzy zegnali się z produkcją w kurtuazyjny sposób, partnerzy w życiu i na parkiecie show nie kwapili się, by podziękować jurorom i pozostali uczestnikom. Tancerka łamiącym się głosem pożegnała się natomiast z publicznością. – Możemy schować się wreszcie przed całym tym hejtem, którego doświadczyliśmy i cholera nie bolał. Ludzie, bądźcie dla siebie dobrzy, życzliwi – powiedziała.

MAGDA MOŁEK

Bywa niegrzeczna

W ciągu kilku dekad swojej telewizyjnej działalności dziennikarka dorobiła się wizerunku nieokazującej uczuć profesjonalistki. Pojawiały się nawet głosy, że jest zbyt „chłodna” i „grzeczna”. W nowym wywiadzie, którego Mołek udzieliła serwisowi Onet Kobieta, odniosła się do tych zarzutów. – Chyba wciąż jestem za grzeczna. Ale nie chcę i nie umiem być kontrowersyjna. Wolę dobrze się wsłuchać i znaleźć u rozmówcy tę jedną rzecz, która jest nowa, wyjątkowa, niebanalna – stwierdziła. Ale dodała: – Bywam czasami bardzo „niegrzeczna” w sprawach, które są dla mnie bardzo istotne. Wciąż kobieca nieustępliwość jest klasyfikowana jako bycie tą niegrzeczną, trudną, konfliktową. To bzdura! – podkreśliła.

JOANNA KORONIEWSKA

Dużo ćwiczy

W niedawnej rozmowie z Pudełkiem aktorka wprost przyznała, że za młodu przeszkadzały jej za długie stopy i za mały biust, który wypełniała wieloma poduszkami. Dziś postrzega się już lepiej, ale kosztuje ją to sporo wysiłku. Niedawno opublikowała na Instagramie swe zdjęcie w kostiumie kąpielowym, przy którym napisała: „Nic nie przychodzi za darmo. W moim wieku to już w ogóle. Dlatego dużo ćwiczę. Z naciskiem na dużo”.

RAFAŁ MROCZEK

Nie może zasnąć

Popularny aktor intensywnie dokumentuje postępy w budowie swojego nowego domu, który dzieli z żoną Magdaleną Czech. Obwieścił właśnie na Instagramie, że prace weszły w kolejny etap – wykończenie. Choć 43-latek ma już gotowych kilka projektów, to remont wciąż spędza mu sen z powiek. „Wybór materiałów i detali trwa... i serio, można dostać zawrotu głowy. Kiedyś było łatwiej – kilka opcji i decyzja zapadała w sekundę. Teraz? Wszystko jest takie piękne, że trudno wybrać” – napisał na Instagramie. I dodał: „Mimo przemyślanej strategii wykończenia... Zасыpiam i myślę: „Co jeszcze mogę zmienić, póki mam czas?” Chyba to nieuniknione” – stwierdził.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dziś poczujesz przyływ energii. Horoskop dzienny radzi wykorzystać ją, by ruszyć z planem, który odkładasz od dawna.

Ryby (19.02 - 20.03)

Czas na spokój i refleksję. Nie śpiesz się: horoskop na dziś mówi, że najlepsze decyzje dojrzewają w ciszy.

Baran (21.03 - 19.04)

Komunikacja to Twój klucz do sukcesu. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie innych ludzi.

Byk (20.04 - 20.05)

Zaufaj intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że serce poprowadzi Cię we właściwe miejsce, nawet jeśli rozum ma inne plany...

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Świat patrzy na Ciebie z podziwem. Horoskop na dziś to wskazówka, by wykorzystać ten moment i pokazać swoje prawdziwe możliwości.

Rak (22.06 - 22.07)

Porządkując przestrzeń, porządkujesz myśli. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że drobne zmiany dziś przyniosą duże efekty jutro.

Lew (23.07 - 22.08)

Nie przejmuj się drobnymi niepowodzeniami. Horoskop dzienny uspokaja, że jutro nie będzie po nich śladu.

Panna (23.08 - 22.09)

Będiesz przez cały dzień w doskonałej formie. Horoskop na dziś bardzo wyraźnie zapowiada, że dużo uda Ci się dzięki temu osiągnąć.

Waga (23.09 - 22.10)

Przygoda czeka tuż za rogiem. Zrób krok naprzód: horoskop dzienny na piątek mówi, że los nagrodzi Twoją odwagę i ciekawość.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Twoja determinacja dzisiaj zaimponuje. Nie zrażaj się przeszkodami. Horoskop dzienny mówi, że sukces już widać na horyzoncie.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoja kreatywność dziś popłynie szerokim strumieniem. Horoskop dzienny radzi zaufać swoim pomysłom.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Uczucia nabiorą dziś głębi. Pozwól sobie na szczerość. Horoskop dzienny na piątek wróży, że ktoś bliski naprawdę tego potrzebuje...

archipelag na krańcu Ameryki Południowej

śnieżny pagórek

sposób, taktyka klient urzędu

6

duch panujący w wojsku

drapieżna ryba z Amazonki

pięściarstwo np. domino biblijny prorok

Michałkow, reżyser

sportowa drużyna

zasłona w boksie model Kia ubiega się o urząd

stragan górski strumień

marka papierosów drzewo z orzeszkami

małpa wąsokontroler

17

biuro fabryki kotara, zasłona

dokładny do przesady

krzew ozdobny, dzięgiława

przełożony, szef

noworodek, bobas

arystokrata grzyb jadalny

zator na szosie „.... do radości” perła Krakowa

8

wagon kolejowy

kozacki oficer

awantura autor powieści faworyty

13

„King” Cole

świątynia w Mekce

wyrób z Tuły

mocny argument

puszysty ogon

rozdział Koranu

drapieżny kot z Ameryki

20

ustalony termin

bachantka jadło, pokarm narządy oddechowe ryb

stolica z Kolo-seum

grecka kraina

odmiana chalcedonu

10

źródło dla poety

poziome drzewce masztu

płyń przez Pinczów

model Poloneza

arabskie księstwo

11

chroni od deszczu

18

kul-szowa doleg-liwość

płowy ptak

rzymska Selene

3

amery-kańskie kroko-dyle

muzyka impro-wizowa-na

prawie kumpel

dobry okres w życiu

związana tkanina

charak-ter czło-wieka

główny port Kenii

przodek kury domowej

zasada wiary

rzeźbi w metalu

waluta Gruzji kopalny głowonóg

sejmik cza-rownic

materiał opatrunkowy

stryf statku miły zapach

1

meta-łowa listwa u drzwi

22

pelzak z nibynóżkami odmiana piaskowca

port w Algierii

Indianie Ameryki Pół-nocnej

gruby koc

dawny prze-cinek

chroni metal przed rdzą

4

kraj w Afryce z Lome

7

ścisk w tramwaju kuzyn drozda

21

ludowa nazwa kozłarza czerwonego

Miro-sław, aktor z filmu „Reich”

azja-tycki trunek

pan w kon-tuszu

po sylurze

4

nagły rozkwit gospo-darki

rakiety świet-lne

19

np. „Sło-necz-niki”

15

płyń przez Zagrzeb

16

strażac-ka baza miara złota

izotop wodoru

forsa, mamona

żeruje w kuchni, karaluch

REKLAMA0010990366

GŁOS

w prenumeracie z Tele Magazynem

☎ 94 340 11 14

szermiercza broń

lichy utwór lite-racki

hazardo-wa gra

2

stolica Ghany

pod-władny retmana

druch Aramis

... Azna-vour, piosen-ka

dra-pieżnik z sa-wanny

dyskiem lub oszcze-pem

fale radiowe

Louis, aktor z Francji

sztor-mowa na morzu

na koszulce piłkarza

14

duży garnek

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą rozwiązanie – przysłowie angielskie.

ROZWIĄZANIE: SMUTNE GODZINY TRWAJĄ DŁUGO.